

Drogi Czytelniku,

Oddajemy w Twoje ręce czternaście tekstów baśni z Wietnamu, wydanych przez Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku pod tytułem *Baśnie spod Góry Tan Vien*. Wybraliśmy je do IX edycji spotkań Godzina z baśnią francuskojęzyczną. Odbędą się cztery spotkania-słuchowiska, od marca do czerwca 2025 roku. Zakończy je zabawa – wielki quiz z pytaniami dotyczącymi treści baśni i informacji o Wietnamie.

Baśnie oraz prezentacja o Wietnamie znajdują się na stronie: uwb.absyst.com

Organizatorami IX edycji są:

Pracownia Literatury Francuskiej i Frankofońskiej z Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku

Biblioteka Uniwersytecka im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku

Biblioteka Pedagogiczna

ZAPRASZAMY CIĘ SERDECZNIE DO LEKTURY!

ŻYCZYMY MIŁEGO ODKRYWANIA PIĘKNEGO ŚWIATA WIETNAMU!

Spis utworów:

1. *Przeciwnik Tygrysa*, przeł. Agnieszka Włoczewska
2. *Nowe szaty Kruka i Pawia*, przeł. Julian Sawicki
3. *Mała Cykada idzie na festiwal*, przeł. Agnieszka Włoczewska
4. *Skarb człowieka*, przeł. Agnieszka Włoczewska
5. *Duch z Góry Tan Vien*, przeł. Julia Marta Mróz, Kinga Potocka
6. *Wiatr przed Sądem*, przeł. Natalia Hałasa
7. *Gekon*, przeł. Weronika Mantur
8. *Ropuszka*, przeł. Olaf Płoński, Julia Krystosik
9. *Kot i Szczur*, przeł. Andrzej Zieliński
10. *Kwadratowy wąż*, przeł. Weronika Mantur
11. *Do czego podobny jest słoń?*, przeł. Karolina Paluchiewicz
12. *Co krawiec wiedzieć powinien?*, przeł. Agnieszka Włoczewska
13. *Uczony i chłop*, przeł. Julian Sawicki
14. *O statkach i drzewach*, przeł. Oliwia Grudzińska

1.

Przeciwnik Tygrysa

Lac, syn właściciela, nazywa go zawsze Maluchem-Bawołem, od czasu do czasu daje mu słodkiego batata, skórkę banana i głaska go po grzbiecie. Tak naprawdę Maluch jest już dorosłym i pięknym bawołem: nie ssie już wymienia matki, a kiedy Lac wskakuje mu na grzbiet nie czuje prawie wagi chłopca. Każdego dnia Maluch towarzyszy matce i innym bawołom, które idą paść się na polanach nieopodal siola.

Często Maluch zabawia się skacząc jak szalony, albo gubi się w zaroślach. Nie widzi stamtąd w ogóle pozostałych bawołów, ale słyszy dźwięk dzwonka zawieszonego u szyi matki oraz przenikliwy głos Laca: „Maluch! No gdzie ty jesteś?”. Maluch stoi cicho, słucha wiatru szepeczącego w liściach i pośpiewującego w strumieniach. „A gdybym tak tu został?” myśli. Lekki dreszcz przechodzi mu po grzbiecie na myśl, że matka i Lac mogliby zostawić go tutaj, zupełnie samego, nocą, w obliczu tygrysa. Biegnie więc natychmiast w stronę matki, która szturcha go rogiem; pozwala zbesztać się Lacowi i wraca paść się dalej.

Wieczór zapada na pastwisku, na którym cień gór rozkłada się szybko niczym rozlewająca się woda, lecz niebo w dali zdobi się świetlistymi kolorami, czerwieni się ponad ciemnymi masami uspionych lasów. Ileż to razy Maluch sam się zaskoczył na tym, że marzy o lesie odległym i tajemniczym, kontemplując splendor zachodu! Co tam może być? Ogromne drzewa, pachnące trawy, strumienie o krystalicznej przejrzystości... tak, niewątpliwie, ale co jeszcze? Aby się tego dowiedzieć, trzeba mieć odwagę, by tam wyruszyć, bo jak się będzie tkwiło u zadu własnej matki, to niczego się nigdy nie dowie.

Tamtego wieczora, podobnie jak i w inne wieczory, matka-bawolica i jej dziecko stoją w ciemnej oborze i żują spokojnie, machając ogonami, by przepędzić roje komarów, które ich atakują. Naraz matka-bawolica mówi:

-Synu, jesteś bardzo zamyślony ostatnimi dniami. Nad czym tak dumasz? Nie jesteś już dzieckiem. Wkrótce przeciągną ci sznur przez nozdrza, na kark nałożą ci jarzmo, a właściciel przyuczy cię do orki. Nie będziesz mógł już dłużej brykać, jak to czyniłeś wcześniej. Trzeba będzie przywyknąć do tego.

Maluch nie odpowiada matce, wciąż wpatruje się w dach obory i żuje. Tak, sporo urósł, czuje się pełny wigoru, trąca wszystko, co stoi na jego drodze, rogiem wymierza tęgie ciosy. Stary pies, który do niedawna jeszcze dokuczał mu, zmiata teraz prędko, gdy tylko bawołą udaje, że zniża rogaty łeb. Ależ jest dumny z tej pary rogów! Ależ są ostre, błyszczące, zakrzywione niczym ostrze sierpa. Świerzbą go one, a obora nieustannie rozbrzmiewa od odgłosu ciosów, które Maluch wymierza kratom. Od czasu do czasu właściciel podchodzi do niego, głaska go po rogach mówiąc:

-Daleko zajdzie ten bawół. Będzie najpierwszym pracownikiem spośród wszystkich w wiosce.

Lac, słuchając ojca, krzyczy z radości: -Maluch! Będziesz mistrzem!

Bawół irytuje się, że zwą go wciąż Maluchem, a bardziej jeszcze, gdy mówi mu się o pracy na polu. Sznur przeciągnięty przez nozdrza, jarzmo na karku, orka przez cały dzień na skrawku błotnistego poletka ryżowego... Cóż to za życie! Oczywiście, że nie jest już dzieckiem, pewnego dnia trzeba opuścić matkę i iść pracować. Na tę myśl serce mu się ściska, nie może powstrzymać się i kładzie łeb na brzuchu matki. Boże! Ależ skóra miękka i ciepła, coż za rozkosz wdychać ten szczególny zapach, który oblatuje go za każdym razem, gdy pcha pysk w sierść. Wymiona Matki-Bawolicy wyschły już, ale gdyby nie ta para rogów na łbie, z pewnością possałby jeszcze. Mama-Bawolica pozwala synowi marzyć przez chwilę, potem mówi łagodnie:

-Twój łeb ciąży mi na brzuchu, bo tam siedzi twój braciszek.

To prawda, w ostatnich dniach była roztargniona, niekiedy nawet nie dostrzegała jego obecności; być może myśli o braciszku, który narodzi się niedługo. Maluch kładzie się z boku przy matce, wciąż przeżuwa i macha ogonem – odganiaczką. Naraz mówi:

-Mamo, czy wiesz, co jest w lesie?

-Nigdy tam nie poszłam – odpowiada matka – ale w czasach mego dzieciństwa stare bawoły opowiadały nam o tym.

-A co mówiły?

-Stare bawoły mówiły, że niegdyś bawoły nie żyły u ludzi, lecz pasły się swobodnie w lasach, i nie wiedziały, co to orka ani bronowanie ziemi.

-No ale gdzie spędzały noc? Nie bały się tygrysa?

-Tygrys jest władcą lasu, każdy go się boi, każdy poza bawołami, które były silne i bojowe. Tygrys nie miał odwagi, by atakować bawoły z lasu!

-A gdybym to ja tak poszedł do lasu? Czy tygrys zaatakowałby mnie?

-Bawoły z lasu były bardzo rosłe: całymi dniami biegały po pagórkach i dolinkach, walczyły ze sobą okładając się rogami. Bawoły domowe nie są już tak pełne wigoru.

-A ja? Czyż ja nie jestem pełen wigoru?

I bawół udaje, że wali w matkę rogiem, a ta ripostuje. Zabawa toczy się do chwili, gdy Matka-Bawolica mówi:

-Jestem zmęczona, jesteś pełen wigoru, ale żeby zmierzyć się z tygrysem, trzeba ci długo ćwiczyć.

Matka-Bawolica i jej syn zasypiają.

Od następnego dnia bawół ćwiczy się w bieganiu po stokach, w podbieganiu pod nie pełnym pędem; i nie przestaje wymierzać na prawo i lewo tęgich ciosów rogiem. Niekiedy przyjmuje postawę bojową, gna na prawo, na lewo, porykując przy tym. Lac woła do niego: „Ależ Maluchu, ty chyba oszalałeś?”. Im więcej ćwiczy się, tym większy rośnie i tym staje się silniejszy, jego rogi są coraz bardziej kłujące. Właściciel, gdy tylko go widzi, wpada w coraz większy zachwyt: „Przy pracy pokonasz wszystkie inne bawoły z wioski!”. Lecz gdzieś w najskrytszych zakamarkach swego wnętrza bawół mówi sobie: „Nie ma mowy o pracy. Jeśli mam kogoś pokonać, to tylko tygrysa, a nie inne bawoły”.

Pewnego dnia właściciel zaprowadził matkę-bawolicę na poletko ryżowe, by je zbronowała, Lac zaś poszedł do szkoły. Obora stała szeroko otwarta. Maluch wychodzi z obory, mija ogród, wchodzi na drogę. Stary pies biegnie za nim szczekając: „Dokąd idziesz? Powiem wszystko panu!”. Bawolę marszczy brwi, zniża rogi, na co pies czmycha czym prędzej. Maluch brnie w stronę góry, biegnie, serce prawie mu pęka ze strachu, że zaraz właściciel albo Lac odkryją, co zrobił, i ruszą w pościg. Gdy tylko wieś zniknęła mu z oczu, zatrzymał się. Złapał oddech i stoi zakłopotany. Zapuszczać się w las? Nachodzi go pokusa, by zawrócić, lecz w końcu mówi sobie: „Pójdę do lasu i spędzę tam jedną tylko noc; jutro wrócę. A jeśli nadejdzie tygrys, będę się bił”.

Wchodzi do lasu. Przezryste strumyki szemrzą wśród krzaków, niekiedy woda rozbryzguje się o duże skały i wieńczy je białą pianą. Maluch upija łyk tej wody. Cóż za świeżość! Nie można żadną miarą przyrównać jej do tej z wioskowej kałuży. Tysiącletnie drzewa wznoszą wielgachne pnie, dziesięć razy grubsze niż najgrubszy chlebowiec rosnący w ogrodzie, listowie gnie gdzieś wśród chmur. A

kruków rozprawiających o czymś gdzieś tam na czubku prawie w ogóle nie widać. Z zagłębienia w drzewie wyskakuje jakieś stworzonko. Można by rzec, że to jakiś duży szczur, ale nie – ono ma piórka w ogonie; i tak rzecze:

-Przedstawię się: jestem wiewiórka-przyjaciółka; dzień dobry! Witam towarzysza bawoła!

I zaraz znika.

Maluch przygląda się grubym lianom oplatającym się wokół wielkich drzew, wygląda to tak, jakby chciały je zadusić. Aż tu nagle stado małych wyskakuje nie wiadomo skąd i napęnia las wrzaskami: „Dzień dobry towarzyszu-bawole, dzień dobry! Dużo zdrowia!” wołają ze wszystkich stron. Przeskakują z gałęzi na gałąź, robią tysiące akrobacji, ciągną się za ogony, stroją tysiące min. I nagle, w mgnieniu oka, zmykają.

Droga wychodzi na ogromne pastwisko; bawół, jak daleko pamięcią sięgnie, nic podobnie wielkiego nie widział. Delikatna trawa rozciąga się aż po horyzont, łąka usiana kwiatami we wszystkich kolorach przypomina wielką pstrą serwetę, którą właściciel rozkłada w świąteczne dni; lecz ta ta serweta pokrywa całe wzgórze. Maluch, upojony zapachem traw i wielkością łąki, wydaje głośny ryk i tarza się po ziemi. Z gęstych traw wyłaniają się przestraszone jelenie i daniela, i uciekają ile sił w nogach. Maluch podziwia te gibkie i sprężyste stada. Można by powiedzieć, że nie skaczą, tylko płyną. Lecz po chwili wracają i mówią:

-Towarzyszu bawole, przestraszyliście nas, przybyliście bez zapowiedzi, pomyśleliśmy sobie, że to czarny Tygrys.

Maluch ich pyta:

-Ależ dlaczego nie bijecie się z Tygrysem?

Jelenie odpowiadają:

-Mamy wielkie, rozłożyste rogi, ale one są raczej jak gałęzie i bardziej nam przeszkadzają, niż pomagają. Nasze ocalenie zawdzięczamy szybkim nogom, to dzięki nim możemy uciec.

-A czy jest jakiś tygrys w tej okolicy? – pyta Maluch.

-Jest czarny Tygrys, najdzikszy z możliwych, który nadaje tu swe prawa. Wszyscy go się boją, a gdy zaryczy, każdy pada na ziemię i drży.

Maluch czuje dreszcz na grzbiecie, lecz natychmiast pokrzepia się: „Moje rogi są bardzo ostre, i długo ćwiczyłem, jak się bić. Zobaczymy zatem”. Lekki wietrzyk prześlizguje mu się po rogach. Unosi łeb, góry w oddali połknęły już prawie pół słońca, cień rozciąga się na łące niczym występujące z brzegów jezioro. Po chwili słońce znika, cień pokrywa całe pastwisko, lecz w dali, nad szczytami, niebo okrywa się lśnącymi, czerwonymi chmurami. Wkrótce chmury przybierają purpurową barwę, potem granatową, potem czarną – albo może raczej rozplynęły się? Maluch nie wie, co sądzić. Sklepienie nieba ciemnieje, ale zachowuje jakąś wyjątkową przejrzystość. Tam w górze musi chyba trwać jakieś święto, lampiony zapalają się jeden po drugim i wkrótce Maluch widzi tysiące błyszczących gwiazd. Bawołą długo przygląda się rozgwieżdżonemu niebu i wspomina smutne noce, kiedy miał nad głową tylko szarawy dach obory, pod którym brzęczały komary. Ah! Gdyby zabrakło mu odwagi, by przyjść aż tutaj, nigdy nie zobaczyłby takiego spektaklu.

Bawolęciu chce się naraz bardzo spać, szykuje się, by położyć się w pachnącej trawie, lecz naraz otrząsa się: nie zasypiajmy! A już z pewnością nie tutaj, na otwartej przestrzeni, tygrys może nadejść w każdej chwili. Kieruje się w stronę rzędu wielkich drzew, które, wraz z lianami, tworzą prawdziwy mur. Stąd przynajmniej będzie mógł bronić się przed tygrysem: oparty o stojące w rzędzie drzewa nie będzie musiał obawiać się ataku od tyłu. Tygrys będzie musiał nacierać z na wprost, a więc w polu rażenia

rogów. Maluch uważnie bada teren, próbuje różnych postaw bojowych, stąpa naprzód, cofa się, dźga rogami na prawo, na lewo, skacze w przód, klęka. Czuje się pewnym siebie, już mu nie zimno, choć rosa perli mu się na grzbiecie. Jedynie nawoływania ptaków przerywają od czasu do czasu ciszę nocy. Maluch kręci się w kółko, żeby nie zasnąć. Naraz z oddali rozlega się ryk. Maluch wytrzeszcza oczy i wpatruje się w ciemność, serce zaczyna mu walić niczym bębenek w świąteczne dni, całe jego ciało pręży się. Wkrótce rozlega się szelest traw, o które coś się otarło; para świecących oczu wyłania się z mroku i szybko nadciąga. Oto on, czarny Tygrys! Zbliża się, wszystko dookoła wyczuwa jego obecność. Zatrzymuje się o trzy kroki, dostrzega ogromne rogi i śmieje się szyderczo:

-Bawole, czy ty już znasz Pana Lasu? Cóż za szczęście dla mnie: od kiedy noc nastała, nie jeszcze nie wrzuciłem na ząb. No, dalej, nie stawiaj tak tych swoich rogów, tylko połóż się grzecznie na ziemi. Trzepnę cię łapą raz a porządnie i odejdiesz szybko, nawet nie poczujesz strachu ani bólu.

I tygrys dalej tak szydzi. Jak jeszcze zbliżał się, Maluch myślał, że serce przestanie mu bić, a łapy trzęsły mu się. Ale gdy tylko usłyszał szyderstwa dzikiego kota, zaraz ogarnęła go złość. Krzyknął więc: -Las jest dla wszystkich, nikt nie jest tu panem! Moi przodkowie pokonali twoich. Nie boję się ciebie!

A tygrys znów szydzi: -Odważniak z ciebie. Powiedz mi tylko, jak bawół domowy może porównywać się do dzikiego bawoła? Naprawdę chcesz się bić? Tym gorzej dla ciebie! Ciało będziesz miał w strzępach, z głowy będziesz miał papkę, umrzesz zwijając się z bólu.

Maluch-bawół krzyczy na cały głos: -Nie dam się pożreć bez walki! Jeśli ja będę miał papkę z głowy, to ty będziesz miał kości jak marmolada!

Tygrys zaryknął: -Ty mały bezczelniku!

I skacze. Bawół runął naprzód, z nastawionymi rogami, tygrys chce przeskoczyć nad rogami i zatopić kły w klatce przeciwnika; ale bawół szybki jak błyskawica także skoczył i wali rogami w brzuch dzikiego kota. Tygrys cofa się, chce atakować od tyłu. Bawołą wspiera się o drzewa i cały czas nastawia straszliwe rogi na wroga. Ataki, kontrataki. Tygrysowi udało się rozszarpać skórę bawołęcia, lecz sam także dostał tęgie ciosy w brzuch, w klatkę. Krew oblewa ciało bawoła; dzikiemu kotu udało się drasnąć go w prawe oko. Maluch widzi już tylko na jedno.

Walka trwała kilka godzin. Tygrys miał połamane żebra z obu stron. Gwiazdy powoli bledły, nocne ptaki nie przelatywały już po niebie, zbliżał się świt. Bawołą było u kresu sił; tygrysowi udało się parę razy zawisnąć u szyi przeciwnika, ale bawołęciu udało się go strącić na ziemię dzięki desperackim skokom. Robiło się coraz widniej. Trawa na całym polu walki była stratowana. Obaj dyszeli ciężko. Czarnemu Tygrysowi zajęło trochę czasu, zanim odzyskał oddech; wiedział, że bawołą nie ma już sił, by się bronić, gotował się więc do ostatecznego ataku. Tymczasem nie skoczył: nastawił tylko uszu, po czym czmychnął do lasu, który roztaczał się przed nim. Bawołą zważyło się na ziemię i straciło przytomność.

Pojawiła się grupka mężczyzn, jedni nieśli strzelby, drudzy topory. Byli to drwale, których ściągnął tu hałas. Obmyli rany bawołęcia, dali mu pić. Bawołą otwarło czy, potem udało mu się stanąć na łapach. Kilka chwil później przyszli Lac i jego ojciec i zabrali Malucha do obory. Matka-bawolica zaryczała z radości, wielkie łzy potoczyły jej się z zaczerwienionych oczu, lizała i lizała razy syna. Chciała go okrzyczeć, ale jak tu okrzyczeć dziecko, które miało na tyle odwagi, by bić się przez całą noc z tygrysem?!

Przez kilka kolejnych dni Lac chodził kosić delikatną trawę i pichcił ryżankę dla bawołęcia. Rany szybko mu się zagoiły, z wyjątkiem prawego oka, którego nie dało się uratować. Znów chodził z matką na pastwisko. W całej wsi nie mówiono o niczym innym, tylko o bawołęciu, które pokonało tygrysa. Gdy Maluch taplał się w bajorach albo gdy pasł się na środku pola, towarzysze kazali mu raz po raz opisywać walkę i pokazywać sobie, jak walczyć z tygrysem. A Maluchowi sprawiało to wielką

radość, szarżował więc, rozdawał ciosy rogami na prawo i lewo, nacierał, cofał się, przyklękał, skakał. Lac klaskał ze wszystkich sił: „Oto prawdziwy mistrz!”.

Od tej pory wszyscy nazywali go Mistrzem i nikt nie wołał już na niego Maluch.

Pewnego dnia Mistrz leżał u boku Matki-bawolicy i przeżuwał trawę, jak zazwyczaj, gdy wtem ujrzał nadciągających od strony stodoły tych samych drwali, który wtedy pojawili się w lesie. Szli teraz razem z właścicielem. Drwale mówili:

-Odstąp nam tego bawoła. Jest pełen sił, energii i waleczności. Byłoby szkoda wziąć go do orki. Lepiej przyda się do ściągania pni wielkich drzew z lasu.

Mistrza aż dreszcze przeszedł, gdy usłyszał o lesie. Nie wiedział dokładnie, na czym jego praca miałyby polegać, ale sama myśl o tym, że będzie żył w lesie wydała mu się czarująca; teraz nie bał się już tygrysa. Potem jednak zaczął się wahać: zostawić matkę, Laca, właściciela? Las go pociągał, ale myśl, że opuści matkę, Laca, wioskę, wprawiała go w niezdecydowanie. Tamtego wieczoru nie mógł usnąć. W samym środku nocy Matka-bawolica spytała go:

-Co ci jest, synu?

Bawolę zwierzyło jej się ze swych nadziei i obaw. Matka-bawolica namysliła się chwilę, po czym rzekła:

-Jesteś duży i silny. Możesz odejść, synu. Idź swą drogą, nie będę cię zatrzymywać. Zresztą wkrótce będziesz miał braciszka, który będzie żył u mego boku. A słyszałam, że i Lac pojedzie wkrótce do miasta studiować.

Kilka dni później drwale przyszli i zabrali bawolę. Mistrz znów szedł drogą wiodącą do lasu, tą samą, którą przemierzył wcześniej za jednym zamachem, gnany strachem, że ktoś za nim ruszy i go złapie. Tym razem przy każdym kroku odwracał się, by spojrzeć na matkę, Laca, właściciela, którzy machali mu. Nawet stary pies, tak zazwyczaj kłótlivy, towarzyszył mu przez kawałek drogi.

Wkrótce wsi nie było już widać i nogi bawolęcia zaczęły go szybciej nieść. Woń traw uderzyła go w nozdrza, bawolę słyszało szemranie strumieni i świergot ptaków. Był w środku lasu. Wielkie drzewa rosły wzdłuż drogi; jutro jego nowi właściciele będą je ścinać, a on będzie musiał je ściągać z lasu. Przyspieszył jeszcze kroku, serce biło mu mocno, wkraczał w nowe życie.

2.

Nowe szaty Kruka i Pawia

baśń ludowa

W tamtych dawnych czasach wyrażenia takie jak “czarny jak kruk” czy “dumny jak paw” były nie do pomyślenia. Kruk miał szaty koloru brudno-szarego, a paw, również szary, nie miał się czym chwalić. W zasadzie obaj wyglądali tak źle, że ośmielali się wyjść jedynie razem.

„Jesteśmy równie brzydcy, więc nie ma co bać się porównań”, myślał Paw. „Z tą główką na niezdarnym ciele Paw jest jeszcze brzydszy ode mnie”, powtarzał sobie Kruk. Ta myśl kazała mu tym bardziej doceniać towarzysza, jako że była to jedyna istota, od której mógł się czuć lepszy.

-Jesteśmy filozofami, stoimy ponad tym całym hałasem i próżnością różnobarwnych śpiewaków! - mówił Kruk, zapraszając Pawia na spacer w najbardziej oddaloną część lasu.

Nigdy i za nic nie przyznałby się, że prawdziwym powodem był strach przed tym, że ktoś zobaczy go w towarzystwie ładniejszego ptaka. A Paw, choć nie wiedział wcale czym jest ta cała filozofia, akceptował ją bezwarunkowo i był dumny, że jest przyjacielem osoby tak mądrej jak Kruk.

Pewnego ciepłego letniego popołudnia, zobaczyli dwójkę uczniów siedzących pod drzewem, na którym się znajdowali.

-Jakaż ta polana spokojna! To idealne miejsce do pisania poezji! - powiedział pierwszy.

-Masz rację. Jaki wybierzemy temat?

-Coś pięknego, żyjącego w lesie... na przykład feniksa.

-Wspaniale! Feniks, król ptaków, powietrzny symbol piękna...- zaczął deklamować jego towarzysz, kiedy Kruk przerywał mu kracząc z rozczarowaniem:

-Kra! Co? Feniks, sama tylko szyja, bez ani krztyny mózgu! Faj!

-Słyszałeś ten okropny hałas? - zapytał jeden z uczniów i wstał.

-Lepiej stąd chodźmy. Te szare brzydactwa na gałęzi zniszczyły moją inspirację - odpowiedział drugi spoglądając szybko dookoła.

Kruk widział ich odchodzących w pośpiechu. Był tak zdenerwowany, że przełał złość na Pawia.

-Szare brzydactwa! Cóż za komplement! A ty, ty to przełknąłeś, jakby to było ziarno lotosu.

-Ale przecież jesteśmy szarzy - odpowiedział Paw łagodnie. - Dlaczego złościsz się za prawdę? Swoją drogą, gdybyś im nie przerwał pisania poematu o feniksie, uczniowie by nic nie powiedzieli.

-Trzeba być takim, jak ty, bez mózgu, żeby akceptować te obrazy – syknął Kruk, wiedząc, jak bolała Pawia każda aluzja do jego małej głowy. -Feniks ma prawo do wierszy... do złych wierszy, zgadzam się, ale głoszących bądź co bądź jego chwałę... podczas gdy nami się gardzi tylko z powodu paru piór mniej lub bardziej kolorowych. Oczywiście, tobie jest to obojętne! Nawet nie próbujesz zmienić tego nieznośnego stanu rzeczy!

-Nie wiem, jak go zmienić, więc wolę nie niepokoić się na próżno, w przeciwieństwie do ciebie.

-To dlatego, że jesteś zbyt leniwy. Inaczej bylibyśmy już królami lasu! Ale tym gorzej dla ciebie, zaproszę Słowika, żeby mi towarzyszył u malarza, bo mi zależy, aby zmienić wygląd, i to jeszcze dziś. I wiń tylko siebie, jeśli jutro będziesz jedynym szarym mieszkańcem lasu... i na dodatek ten twój grubiański głos! Podczas gdy Słowik będzie nosił suknię równie wspaniałą, co jego śpiew!

Dla Pawia tego było już zbyt wiele. Kruk często mu proponował, aby zmienili swoje upierzenie pożyczając farby pustelnika, który mieszkał na drugim końcu lasu, ale Paw, który latał niezdarnie, bał się zapuścić tak daleko. Niemniej myśl, że stanie się najbrzydszym ptakiem i utraci jedynego przyjaciela sprawiła, że przestał się wahać; jęcząc i wzdychając, towarzyszył Krukowi aż do pustelni. Kiedy tam przybyli, była godzina sjęsty, a stary człowiek drzemał obok niedokończonego obrazu. Kruk, który go często podglądał, wszystko przewidział. Przenieśli pędzle i farby nad źródło, aby je łatwiej później umyć, nie budząc malarza rozmową.

-Teraz rozwiń ogon, stój spokojnie i patrz na mnie, jak ja to robię, abys mógł mnie później pomalować! - rozkazał Kruk przyjacielowi.

Pokrył go najpierw warstwą zieleni szmaragdowej, następnie namalował niebieskie i brązowe koła na najdłuższych piórach i obwiodł je na czarno. Wreszcie Pawia zamrowiły nogi, więc zaczął dreptać.

-Nie ruszaj się! Psujesz moje dzieło! - krzyknął Kruk. – Doprawdy, jesteś niegodny artysty takiego, jak ja... Dobrze, pochodź trochę, abys odpoczął, ale uważaj na ogon! jeszcze nie wysechł! W międzyczasie poszukam fryzury na twoją głowę, aby wydawała się większa.

Paw niczego innego bardziej nie pragnął, więc po przechadzce stał w bezruchu, aby Kruk mógł mu dokleić małe szczoteczki z przodu. Następnie pomalował mu pierś morskim błękitem i posypał ogon złotym proszkiem.

-Skromność skromnością, ale naprawdę jestem genialnym malarzem! Kiedy wszystko wyschnie, będziesz piękny, jak feniks. Mam tylko nadzieję, że mnie dokładnie obserwowałeś i że stworzysz mi przyzwoite szaty - powiedział Kruk, podziwiając dzieło.

W tym momencie stado wron przefrunęło kracząc.

-Gdzie lecicie o tej porze, kuzynki? - zapytał Kruk.

-Lecimy tam, gdzie szaleje wojna. Pola walki są pokryte trupami, więc lecimy na ucztę! - odpowiedziały. - Nie chcesz do nas dołączyć?

Kruk nagle stał się bardzo głodny.

-Tylko się przebiorę - powiedział. - Zaczekajcie na mnie chwilę!

-Niemożliwe! Gdy tylko nowina się rozniosła, sępy ruszyły w drogę. Jeśli zaczekamy, nic dla nas nie zostanie. Kra! Kra! Odlatujemy.

I rozplynęły się za horyzontem. „Mają rację” pomyślał Kruk, widząc jak odlatują. „Nawet jeśli moja szata nie zajmie połowy tego czasu, co Pawia, to i tak nie znajdę ani jednego dobrego kawałka, a znając powolność mojego kolegi, zajmie mu to dwa razy dłużej. Z drugiej strony, chcę się dziś jeszcze uwolnić od tej szarości”. Więc powiedział:

-Słuchaj Pawiu, nie mogę przegapić takiej okazji, ale nie chcę tam lecieć w swoim obecnym upierzeniu, weź więc atrament chiński i rozprowadź mi go na plecach! Koniec końców, czarny jest eleganckim kolorem, który pasuje do mojego temperamentu.

-Nie sądzę, aby ci pasował, drogi bracie - zaprotestował Paw. Przygotował już bowiem kilka jasnych kolorów i czekał z wielką niecierpliwością na swoją kolej.

-Nie prosiłem, żebyś myślał, ale abys rozprowadził mi atrament po plecach! Będziesz mógł mnie pomalować, kiedy wrócę, ale na razie rób, co ci każę... głupku ty jeden!

Zniewaga przyniosła zamierzony efekt: wściekły Paw wylał całą butelkę atramentu na Kruka, który odleciał nawet nie dziękując. Wrócił parę dni później i spostrzegł, że Paw w nowym odcieniu całkowicie się zmienił. Trzeba było się do niego przymilać i chwalić go, aby zechciał wrócić do malarza i dokończyć strój Kruka. Tymczasem w domu pustelnika farby i pędzle zostały zamknięte na klucz: tamtego dnia starzec znalazł je obok źródła, pomyślał, że demony zaczęły się nimi bawić... a bynajmniej nie gustował w ich towarzystwie.

-Trzeba było się mnie posłuchać, kiedy tamtego dnia radziłem, abyś się pomalował - rzekł Paw.

-Ty... mi radziłeś? Naprawdę wierzysz, że nowe upierzenie dało ci nowy rozum? - odpowiedział urażony do żywego Kruk.

-W każdym razie, wydaje się, że to nowe czarne upierzenie przyciemniło ci twój rozum. A w sumie... dlaczego miałbym ci pozwalać się obrażać, brzyda! - wypalił Paw.

Złota suknia zdecydowanie dodała mu odwagi!

Od tamtego dnia Paw i Kruk nie są już przyjaciółmi. Już nawet ze sobą nie rozmawiają. Możemy się jedynie zastanawiać, czy to ze względu na ich upierzenie czy ich charakter.

3.

Mała Cykada idzie na festiwal

Larwy cykady wylęgają się pod ziemią; gdy stają się dostatecznie dojrzałe, wychodzą z jamki i wspinają się po pniach drzew, gdzie pozbywają się pancerzyków i odbywają pierwszy lot.

W letnie dni, na lśniących czerwienią wianowłoskach¹, gromada cykad urządza festiwal i raduje się tym z całego serca. Bębny i trąbki grają nieprzerwanie od wieczora do rana. Mała Cykada siedzi w jamce i dusi się od upału i nudy.

-Mamo, pozwól mi iść na święto. Będę grzeczna, wrócę wcześniej.

-Musisz odziać się stosownie. Nie pobrudź ubrań, zwłaszcza pary skrzydeł, które właśnie ci kupiłam.

Mama wyciąga z szafy nowiutki strój. Z jakże delikatnego jedwabiu, mieniącego się barwami tęczy! A jakież skrzydła! Przeźroczyste, z delikatnymi żyłkami! Mała Cykada aż podskakuje z radości. Mama chowa znów strój mówiąc:

-Założysz go na zewnątrz. A stare ubranie zawieszysz na pierwszym pniu drzewa i zabierzesz je stamtąd, gdy będziesz wracać. A wróc wcześniej!

Mała Cykada wychodzi z jamki i wiesza stare ubranie na pierwszym napotkanym pniu drzewa, wkłada nowy strój i oto już leci na jedwabistych skrzydłach, prosto w rozwidlone gałęzie wianowłoski. Gromada cykad wita ją radośnie. Babcia mówi do niej:

-Podejdź no tu bliżej, żebyśmy mogli lepiej przyjrzeć się twojemu strojowi.

Wujkowie, ciocie, kuzyni i kuzynki nie ustają w zachwytach. Ktoś pyta:

-Umiesz śpiewać i tańczyć?

-Tak – odpowiada Mała Cykada. – Znam wiele pieśni.

-Zatem – mówi Babcia – idź śpiewać i tańczyć.

Mała Cykada idzie więc tańczyć i śpiewać z całą gromadą i muzyka wypełnia dzielnicę. Po jakimś czasie wszyscy przestają tańczyć i idą przekąsić coś smacznego. Babcia mówi:

-A teraz, Mała Cykado, zatańcz coś solo dla nas wszystkich.

Mała Cykada zawstydzila się, ale widząc wokoło samą tylko rodzinę i spoglądając na swój piękny nowy strój, nabiera pewności. Ktoś brzdąknął na gitarze, wszyscy ją otoczyli, zaczyna więc tańczyć. Cała gromada klaszcze.

Potem przychodzi pora na kuzynki. Każda z nich ma piękną suknię, a to szmaragdową, a to błękitną albo pomarańczową, albo szkarłatną. Patrząc na nie można by rzec, że to kwiaty kołyszą się na wietrze. Potem chłopcy, duzi i silni, tańczą męskie tańce, przypominające epickie walki. Mała Cykada nie może się napatrzeć na to całe piękno, ani nasłuchać całej tej muzyki. Godzinami kontempluje spektakl.

Noc zapada coraz głębsza. Ulicami, pod rozwidlonymi gałęziami drzew, przejeżdżają jeszcze ostatnie samochody. Naraz Mała Cykada słyszy wielki kurant wybijający godzinę. Liczy: „Jeden, dwa, trzy... dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście!”. Podskoczyła aż. Już północ. Trzeba wracać. Spieszenie żegna się ze wszystkimi i za jednym uderzeniem skrzydeł jest już w rodzinnej jamce. Mama na nią czeka, wystawiła zapaloną lampę. Mała Cykada całuje ją i zanim jeszcze na dobre złapie oddech mówi:

¹ Wianowłoska (fr. flamboyant): drzewo tropikalne o czerwonych liściach.

„Święto to coś wspaniałego!” I cała jeszcze zadyszana opowiada ze szczegółami, jak wyglądał wieczór. Gdy opis dobiegł końca, Mama rzekła:

-No dobrze, ale gdzie jest twoje stare ubranie?

Mała Cykada przypomina sobie, że zapomniała zabrać je z drzewa, pędzi więc, aby je wziąć z powrotem. Ledwo co do niego doleciała i już miała je chwycić, gdy naraz łapie ją jakaś ręka. Otóż tego wieczora i mała Binh długo nie śpi, czatuje na cykady.

Binh umieszcza cykadę w słoju i starannie zakręca podziurkowane wieczko, tak by uwięziona mogła oddychać. Mała Cykada przeplakała całą noc. Usiłowała wyjść, ale na próżno! Nie udało jej się uwolnić. Próbowwała wspinać się po ściankach, ale szkło jest zbyt śliskie; próbowała wylecieć, ale tylko stuka głową w pokrywę. Wreszcie, wyczerpana, zasypia.

Nazajutrz rano Binh idzie do szkoły niosąc słoje. Cała klasa tłoczy się wokół więźniarki. Wychowawczynie bierze słoje i pokazuje cykadę wszystkim uczniom. Pyta:

-Wiecie, co to jest?

Klasa odpowiada chórem:

-P'sze pani, to cykada!

-Cykada. A co ona potrafi robić?

-P'sze pani, ona potrafi śpiewać i tańczyć w letnie dni - odpowiada Binh.

Wychowawczynie pyta dalej:

-A czy cykady tną nas albo kłują, jak komary czy muchy?

-Nie, p'sze pani. One nie tną. One śpiewają i tańczą – odpowiada jedna z uczennic.

-A zatem trzeba zatrzymać czy uwolnić naszą więźniarkę?

W klasie zapanował rwetest. Jedni chcą ją zatrzymać, inni wypuścić, a każdy obstaje przy swoim.

Wychowawczynie bierze Binh za rękę i pyta ją:

-Trzeba ją zatrzymać czy nie?

Po chwili zastanowienia Binh odpowiada cichym głosem:

-Trzeba ją uwolnić.

Wyjmuje cykadę ze słoja, stawia ją sobie na dłoni. Cała klasa wstrzymuje oddech. Cykada wolno podnosi się na łapkach, rozkłada powoli jedwabiste skrzydła i odlatuje w stronę wianowłosek o lśniących czerwieniach kwiatów.

Tamtego wieczoru, gdy Binh słuchała śpiewu cykad skrytych w liściach wielkich drzew rosnących na ulicy, wydało jej się, że rozpoznaje śpiew tej, której rano zwróciła wolność.

4.

Skarb człowieka

baśń ludowa

Zdarzyło się to pewnego wieczoru, dawno, dawno temu, w czasach kiedy jeszcze ludzie i zwierzęta mówili tym samym językiem, a Tygrys nosił szatę w pięknym, jednolitym żółtym kolorze. Tego wieczoru właśnie Bawół wracał z kąpieli. Szedł sobie świeżo umyty i bardzo zadowolony, dlatego porykiwał cichutko pewną pioseneczkę, a nos zadzierał do góry. Tak, tak! W tamtych bowiem czasach Bawół miał jeszcze nos prosty i bardzo był z niego dumny. Dlatego też nie zauważył, iż ktoś go śledzi. Spostrzegł się dopiero wtedy, gdy usłyszał tuż obok mruczące: „Dobry wieczór!”.

Bawół podskoczył: na całym świecie była tylko jedna jedyna istota o takim głosie - Jego Wysokość Tygrys.

-Czy mogę towarzyszyć ci aż na skraj lasu? – spytał Tygrys grzecznie.

Bawół nie śmiał odmówić; kiwnął tylko łbem w bliżej nieokreślonym geście. I poszli dalej razem, a Tygrys gawędził tak przyjacielsko, że Bawół zaczął zastanawiać się, czy wielki kot faktycznie zasłużył sobie na tak bardzo złą opinię.

-Nie widać cię zbyt często w lesie – zamruczał Tygrys. – Domyślam się, że cały czas mieszkasz z tym słabowitym zwierzęciem, które zwą Człowiek.

Bawół potaknął tylko skinieniem łba.

-Mówią, że pracujesz dla niego.... Czy to prawda?

Bawół znowu przytaknął skinieniem.

-Ach, gdybym nie usłyszał tego od ciebie, to nigdy bym nie uwierzył w to, co inni mówią.... Nie mogę zrozumieć dlaczego to robisz! Człowiek nie ma ani kłów, ani pazurów, ani jadu, ani siły. Pierwszy lepszy zwierzak potrafi biec szybciej niż Człowiek. No i na dodatek jest taki malutki! Jak możesz godzić się na to, by być twoim panem?

-Ja sam za dobrze tego nie mogę zrozumieć – odparł Bawół. – Wydaje mi się, że jestem z nim z powodu jego inteligencji.

-Inteli.... co? Jak?

-INTELIGENCJI – powtórzył Bawół zachwycony, że wreszcie wie coś, czego nie zna Jego Wysokość Tygrys. –Jest to coś, co tylko człowiek posiada. I to coś pozwala mu rządzić Koniem, Psem, Kaczką ... no i mną!

-A to dopiero ciekawe – rzekł Tygrys, który szedł z Bawołem po to właśnie, by to usłyszeć. –To bardzo, bardzo ciekawe... Wiesz, gdybym i ja miał troszkę tej inteligencji, moje życie stałoby się znacznie przyjemniejsze. Wszyscy by mnie słuchali. Mógłbym całymi dniami wylegiwać się w trawie wybierając najtłustsze kęsy na posiłek. Nie musiałbym się więcej uganiać za zdobyczą... Jak myślisz, czy Człowiek odsprzedałby mi trochę tej inteligencji?

-Ja... sam nie wiem, nie mam pojęcia – wybełkotał Bawół.

-Jutro sam go o to poproszę! Nie sądzę, by ośmielił się odmówić MNIE! – mruknął Tygrys i znikł.

Bawół szedł dalej ze spuszczonego łbem. Zastanawiał się, czy czasem nie powiedział zbyt wiele. Czy nie wygadał się przed Tygrysem. Ale po obiedzie poczuł się dużo lepiej. Przypomniawszy też sobie, że przecież Tygrys nie przychodzi nigdy na pole ryżowe.

A jednak... tym razem, stało się inaczej. Nazajutrz, gdy przyszedł wraz ze swym panem na pole, od razu spostrzegł czekającego Tygrysa, który przygotował sobie piękne przemówienie na okazję tego spotkania.

-Niczego się nie lękaj, Człeczyno – rzekła dzika bestia z szacunkiem. -Przyszedłem tu z najlepszymi i najbardziej pokojowymi intencjami. Słyszałem, jak mówią, że masz coś, co nazywa się Inteligencją. Chciałbym trochę jej kupić. Daj mi dobrą cenę i sprzedaj mi jej szybko, gdyż bardzo się spieszę, bo nie jadłem jeszcze obiadu. A jak mi nie sprzedasz Inteligencji, to zjem cię razem z Bawołem!

Bawół był wściekły na siebie. Och, gdyby tylko nie kąpał się wczoraj tak długo! Żałował, że wczoraj rozmawiał z Tygrysem. Teraz cały trząsł się ze strachu, mimo że panował południowy upał.

-Cóż to za wielki zaszczyt! – wykrzyknął chłop. -Jego Wysokość Tygrys raczył odwiedzić moje skromne pole ryżowe. I jeszcze daje mi okazję przysłużyć mu się!

I skłonił się jak przed samym królem.

-Och, nie przesadzaj, jestem zwykłym Tygrysem – rzekł Tygrys, któremu te słowa bardzo pochlebiały. -Przyszedłem tu tylko po to, by zakupić od ciebie....

-Zakupić? – przerwał chłop. – Mowię nie ma! Nalegam, byś przyjął mój skarb w podarunku, jako pamiątkę tej świetnej wizyty, która jest honorem dla mnie!

„Och, to naprawdę wielce uprzejmie! Nigdy bym nie przypuszczał, że chłopcy są aż tak uprzejmi” – zamruczał Tygrys i pomyślał sobie: „Cóż za piękny dzień! Witają mnie jak króla i dają mi w prezencie Inteligencję. No tak. Przyjmę to wszystko, potem zjem Człowieka na zakąskę, a Bawoła jako danie główne!”.

Ta myśl rozpałała w oczach Tygrysa dwa zielone ogniki; dodał głośno:

-Dasz mi ten prezent teraz-natychmiast, nieprawdaż, Bracie Człowieku?

-Z największą przyjemnością. Tylko że zostawiłem Inteligencję w domu. Zawsze tak robię, gdy idę na pola – mówił chłop, który zauważył ogniki w oczach Tygrysa. –Bo widzisz, jest to rzecz zbyt cenna, boję się, by nie zgubić jej w błocie. A poza tym do pracy na polu to ona akurat wcale nie jest przydatna. Więc zaraz pobiegnę do domu i przyniosę ci ją!

I oddalił się, lecz zaraz wrócił mówiąc:

-Wybacz, lecz wspominałeś przed chwilą, że nie jadłeś jeszcze obiadu?

-Tak, to prawda. A czemu pytasz? Biegnij raczej szybko i przynieś mi moją Inteligencję!

-No tak, ale boję się zostawić Bawoła sam na sam z tobą. Coś mi się wydaje, że przerobiłbyś go na swój obiad!

-Ależ obiecuję, że go nie tknę – rzekł Tygrys niecierpliwie – No, leć więc co tchu!

-Nie wątpię w twe słowa, Jaśnie Wielmożny... lecz wiem, że czasem głód zaciemnia ci głowę i odbiera pamięć. No a jeśli zjesz Bawoła, to kto pomoże mi w pracy? Z drugiej zaś strony jest on tak powolny, że gdybym zabrał go do wsi ze sobą, to wróciłbym tu dopiero za kilka godzin. A nie chcę, aby Wasza Dostojność czekał. Jeśli zatem Wasza Czcigodność pozwoli przywiązać się do tego oto drzewa, to ja zostawię tu Bawoła i pobiegnę najszybciej jak się da po prezent.

Tygrys przystał na propozycję. „I tak zjem go. Tyle, że trochę później” – pomyślał. Tymczasem chłop przywiązywał go do drzewa. Tygrys aż się ślinił na myśl o wspaniałym posiłku, jaki go czeka. No i nie mógł doczekać się Inteligencji.

Chłop szybko wrócił.

-Biegasz szybciej, niż sądziłem! Czy przyniosłeś mi twój skarb?

-Oto on – odrzekł chłop pokazując jakiś błyszczący przedmiot na końcu bambusowego kija.

-Daj mi go natychmiast! – rozkazał Tygrys.

Chłop usłuchał rozkazu. Podszedł i przesunął lśniąca rzecz przed wąsami Tygrysa. A te aż się osmały. Potem chłop przejechał nią nad głową Tygrysa i dotknął jego uszu, grzbietu, ogona... I oto na żółtym ciele dzikiej bestii pojawiły się czarne plamki. Jak to się stało? Zwyczajnie. Przyniósł bowiem rozżarzony węgiel z swego paleniska.

-Ojej! Pali, piecze! – wołał Tygrys.

-Oto jest inteligencja! – rzekł sucho chłop. Potem odwrócił się do Bawoła mówiąc: -Wracajmy!

Bawół nie mógł się jednak ruszyć. Tkwił w miejscu śmiejąc się z całych sił. Oto Jego Wysokość Tygrys, postrach dżungli, cały aż się tli, zupełnie jak to drzewo, do którego dał się uwiązać! Ależ to zabawne! Bawół śmiał się i śmiał, aż przewrócił się w trawę i tarzał się śmiejąc. Wtem wpadł prosto na kłodę drewna i tak się o nią uderzył, że aż połamał sobie zęby i rozpląszczył nos. Skutki tego wypadku widać po dziś dzień.

-A bardzo ci tak dobrze – rzekł chłop – to oduczy cię śmiać się z nieszczęść innych.

Chłop pognał obolałego bawoła do wsi, jednak sam nie przestawał uśmiechać się pod nosem.

A Tygrys?

Krzyczał, i złościł się, i wściekał. Po jakimś czasie ogniki przepaliły sznury, którymi został uwiązany, tak więc udało mu się uciec do lasu. Po tysiącach kąpeli, jakie odbył, nie udało mu się jednak pozbyć ciemnych pasków i cętek, jakie pozostawiły mu na futrze tłące się liny.

Duch z Góry Tan Vien

na podstawie legendy o Son Tinh i Thuy Tinh

Dawno, dawno temu był sobie młody drwal, który nosił imię tak dostojne, że mówiono, iż jest spokrewniony z królem, ale był on tak biedny, że to imię wydawało się kpina, i tak skromny, że wołał go nie używać. Będziemy go więc nazywać “młodym drwalem” ... a przynajmniej dopóki pozostanie i młodym, i drwalem.

Historia zaczęła się, gdy ściał bardzo piękne drzewo. Jego drewno było tak twarde, a pień tak gruby, że padło dopiero o zachodzie słońca, tak więc młody drwal musiał wrócić do słomianej chaty i nie zdążył porąbać go na kawałki. “Jutro dokonczę robotę” powiedział do siebie. Jednak kiedy wrócił następnego dnia do lasu, drzewo stało, pień był bez najmniejszego zadrapania, a liście tańczyły na wietrze!

“Ależ to dziwne! Pamiętam przecież, że wczoraj je ściałem!” powiedział do siebie drwal zaczynając pracę od nowa. Spędził tam cały dzień i kiedy drzewo w końcu upadło z hukiem grzmotu, słońce znów było tuż nad horyzontem. Nie miał już czasu, aby zrobić sobie wiązkę, musiał opuścić polanę z pustymi rękami i położył się bez kolacji. Następnego ranka wstał bardzo wcześnie, w pośpiechu, żeby ściać drzewo i mieć za co kupić ryż, pobiegł do lasu... i nie wierzył własnym oczom: drzewo znów stało!

“Zobaczmy, kto jest silniejszy: zaczarowane drzewo czy głodny człowiek”, powiedział, unosząc siekierę. Wióry fruwały w powietrzu niczym złote owady, cały las rozbrzmiewał gwałtownymi uderzeniami, które zadawał gigantycznemu pniu, lecz tak jak w poprzednie dni, nie mógł go ściać aż do zmroku. “Trzeba tu zostać, żeby zobaczyć tego, kto podnosi drzewo!” zdecydował, kładąc się za kępą bambusów.

Ciemność okryła las. Ptaki zasypiały jeden po drugim a nietoperze wyruszyły na polowanie. Potem ropuchy trzcinowe dały koncert, a gdy skończyły zapadła taka cisza, że można było usłyszeć w dali drżenie liści, które trącał przechodzący Jego Wysokość Tygrys, i szelest skrzydeł nocnych motyli. To tu to tam zapalały się małe światełka, by natychmiast zniknąć, czyjeś świecące oczy lub świetliki...

Nagle polanę zalała delikatna poświata i pojawiła się na niej młoda kobieta. Była tak piękna, że drwal stał w miejscu jak przykuty. Podeszła do leżącego drzewa, dotknęła je różdżką i sprawiła, że się podniosło powoli, rozciągając gałęzie, jakby właśnie obudziło się z koszmaru.

“I mam zaczynać wszystko od nowa?” powiedział do siebie drwal. Wyszedł z kryjówki, uklonił się pięknej nieznajomej i uprzejmie zwrócił jej uwagę, że stracił przez nią kilka dni pracy.

-Przepraszam- odpowiedziała zjawa. -Tak się składa, że to drzewo jest moim ulubionym miejscem wypoczynku: jestem Thai-bach-tinh-quan, Gwiazdą Pasterza. Przemierzanie nieba jest tak bardzo męczące! Czy przyjmie pan moją różdżkę w zamian za drzewo i pański stracony czas? Ona leczy wszystkie dolegliwości i wystarczy nią dotknąć chorego człowieka lub zwierzę, by rany natychmiast się zagoiły, a ból zniknął. Niech pan jednak pamięta o swoim ubóstwie i dobrze wykorzysta mój dar!

Zanim drwal zdążył podziękować, już jej nie było. Tylko różdżka lśniła w trawie, a nad najwyższymi gałęziami zaczarowanego drzewa Gwiazda Pasterza błyszczała niczym uśmiech. Młodzieniec podniósł różdżkę i wrócił do słomianej chaty. Już od następnego dnia poczuł jej moc. Opuścił więc las i wyruszył w świat, aby pomagać ludziom i ich uzdrawiać.

Pracował jako uzdrowiciel jeszcze ciężiej, niż jako drwal, pamiętając cały czas o słowach Gwiazdy: żaden dom nie wydawał się zbyt ubogi lub zbyt odległy. Im więcej podróżował, tym bardziej jego wiedza o ludziach i naturze rosła.

Pewnego dnia zobaczył pastuszków bawołów, którzy próbowali zabić węża wodnego nad brzegiem rzeki: -Nie wstyd wam, że nie potraficie odróżnić niebezpiecznych węży od bezbronnych? i że czerpicie przyjemności z zabijania nieszkodliwych istot?! - krzyknął ratując ofiarę.

Było to dziwne zwierzę, bardziej świecące niż zwykłe węże wodne, ze wzorem w kształcie korony na czole. „Ależ dziwne stworzenie”, pomyślał uzdrowiciel dotykając go różdżką, dzięki czemu wąż otworzył oczy, zatrzepotał ogonem, wślizgnął się do rzeki i zniknął. „Mógł mi podziękować” pomyślał uzdrowiciel, ale zapomniał o incydencie, bo miał jeszcze wielu nieszczęśników do leczenia. Jednak kilka nocy później pewien elegancko ubrany młody człowiek wszedł nagle do słomianej chaty i rzucił mu do stóp mnóstwo pereł, złota i drogocennych kamieni.

-Jestem Księciem Smokiem, synem króla Mórz Południowych. Przypominasz sobie małego węża z koroną, którego uratowałeś przed pasterzami bawołów? To byłem ja: kocham przebieranki i podróże! I oto jestem, przybyłem podarować tobie prezent w ramach podziękowania.

Od spotkania z gwiazdą, nic już nie dziwiło uzdrowiciela.

-To wyjaśnia rysunek na wężu! Miło mi Księcia poznać, pańska obecna forma pasuje wam lepiej. A teraz bądź łaskaw zabrać swoje klejnoty, nie przydałyby się one ani mnie, ani chłopom z sąsiedztwa.

-Ależ muszę ci wyrazić moją wdzięczność! Mój dostojny ojciec bardzo się pogniewał, że tak szybko odszedłem, a będzie jeszcze bardziej zły, jeśli nie przyjmiesz prezentów od niego. Powie, że nie wręczyłem ich w wystarczająco miły sposób! - powiedział Książę Smok nadąsanym tonem.

Jak wszyscy, był raczej autorytarny i nie mógł znieść sprzeciwu wobec jego woli. Nalegał tak długo, aż znachor zgodził się towarzyszyć mu w drodze do podwodnego pałacu, aby wytłumaczyć królowi, ojcu księcia, że nie chce mieć nic wspólnego z jego klejnotami. Stary król też nie lubił, gdy odrzucano jego dary, ale gość spodobał mu się. Wydał na jego cześć niesamowite przyjęcie w kryształowym pałacu; pokazał koralowe lasy, zatopione statki, gdzie zapomniane skarby śpią przy kołysance wodorostów. I choć król w skrytości przyznał, że gość słusznie gardzi złotem i perłami, to był bardzo zdenerwowany, bo nie wiedział co mu dać na prezent pożegnalny. Przypominał sobie o starej księdze, którą jego pradziadek włożył do skarbca tysiące, tysiące lat temu. To była tak stara księga, że pismo stało się blade, a wyrwane strony pomieszały się. I ten to prezent skromny gość przyjął z przyjemnością.

Po powrocie na ziemię zaczął ją studiować. Nie była to rzecz łatwa... ale było warto: była to księga życzeń. I każdy, kto opanował jej nauki, mógł spełnić natychmiast wszystkie swoje życzenia, co pozwalało uleczyć serce i ciało, przynosić szczęście, jak i zdrowie. Uzdrowiciel dalej podróżował przez kraj, radząc, pomagając, nauczając ludzi tego, co wiedział o roślinach i zwierzętach, o dobru i złu, a w zamian ucząc się przedziwnych głębi ludzkich serc, ich marzeń i problemów...

Minęły lata. Dzieci, które kiedyś znał, wyrosły na siwowłosych starców, podczas gdy on zachował czarne włosy, czyste i błyszczące oczy, pełne siły i mądrości. Stawał się nieśmiertelny, ale nie zdawał sobie z tego sprawy: był zbyt zajęty losem innych. Lata stały się stuleciami i wydawało mu się, że ludzie się zmienili, stali się bardziej nikczemni, zazdrośni, twardzi.

Coraz częściej marzył o spokojnym azylu daleko w górach, wśród prostych i dobrych ludzi, i tak pewnego dnia wyruszył w swoją ostatnią podróż. Podążał w górę Rzeki Czerwonej, minął stolicę Thang Long gdzie dziś stoi Hanoi, ale nie zatrzymał się tam, nie lubił bowiem zgiełku miast. Skierował się na zachód, w kierunku stromych gór, aż dotarł do stóp góry Tan Vien. Tak jak i dzisiaj, porastał ją las aż po trzy wierzchołki, z których rozlegał się widok na Rzekę Czerwoną i odległe równiny, a kiedy je zobaczył, wiedział, że osiągnął swój cel. Wspiął się na nią powoli, zatrzymując się, aby popatrzeć na krajobraz. Wszędzie, gdzie odpoczywał, unosił się w powietrzu zamek, po czym znikał we mgle za każdym razem, gdy ruszał dalej. Później, za każdym razem, gdy wieśniacy, którym pomagał, znajdowali ślady tych baśniowych zamków, wznosili tam ołtarze ku czci ducha z góry Tan Vien, bo tym oto drwał stał się: duchem z góry, nieskończenie mądrym, nieskończenie dobrym, nieskończenie potężnym... i

bardzo, bardzo samotnym. Nagle zauważył, że jaskółki latają parami, że kwiaty otwierają się w wiosennym słońcu..., i że sąsiedni król ma piękną i słodką córkę. I duch zrobił to, czego drwał i uzdrowiciel nigdy by nie zrobili z braku czasu: zakochał się i poprosił księżniczkę o rękę.

Tymczasem Książę Smok został królem Mórz Południowych; ale nie zmienił charakteru zmieniając tytuł, pozostał dumnym, kapryśnym i gwałtownym, i wciąż podróżował pod różnymi przebrańmi. Pewnego dnia zobaczył księżniczkę i poprosił ją o rękę w tym samym momencie, co duch z Góry. Król był bardzo zakłopotany: ówczesne prawa pozwalały mężczyźnie poślubić kilka kobiet, ale kobiety miały prawo tylko do jednego męża. Mógł poprosić córkę o wybór, ale to byłoby sprzeczne z tradycją, według której kandydaci muszą zmierzyć się w jakimś konkursie.

-Ten, który przyniesie mi najpiękniejsze prezenty jutrzejszego poranka, dostanie moją córkę! - orzekł król.

Książę Smok popłynął tak szybko, jak tylko mógł po swój podwodny skarb; ale to duch miał księgę życzeń. W mgnieniu oka przed zdumionym królem pojawiły się niezwykle przedmioty: słońce z dziewięcioma kłami, złote dzbany wypełnione perłami i jadeitami, ósmionogie konie, walczące koguty w kolczugach i wszystko to, co król, duch i bazarz mogliby sobie wyobrazić. Dlatego to on otrzymał księżniczkę, która bardzo się z tego ucieszyła. Tak bardzo bała się, że będzie musiała iść z mrocznym Księciem Smokiem do jego ponurego i wilgotnego pałacu, skąd nigdy więcej nie mogłaby zobaczyć piękna góry Tan Vien ani dobrodusznego ducha. I duch z Góry dokonał swojego największego odkrycia: szczęścia. Nigdy wcześniej wzgórza nie były bardziej ukwiecone, zbiory obfite, a ludzie bardziej szczęśliwi.

Dowiedziawszy się, że jego były przyjaciel poślubił księżniczkę, Książę Smok był strasznie zazdrosny. A kiedy dowiedział się o szczęściu, jakie dzieła z całym krajem, jego wściekłość nie знаła granic. Wcześniej wszyscy od najskromniejszego wieśniaka po księżniczkę bali się jego gwałtownego i podstępного usposobienia, a teraz wszyscy byli szczęśliwi. Wszyscy oprócz niego! I cóż mu z tego, że był panem Mórz i Przyływów, generałem Rekinów, księciem Wiatrów i Fal, jeśli byle kto może się śmiać, podczas gdy on się nad sobą użala?

Wezwał wszystkich swoich żołnierzy: żółwie i ryby, wiatry, burze, przyływy i fale, i razem rzucili się naprzeciw górze. Atakowali ją ze wszystkich stron, próbowali się na nią wspiąć, podważyć ją, zatopić pod szalejącymi falami.

Ale góra stała twardo. Jej skały spadły na żółwie, jej pnącza uwięziły ryby, drzewa położyły się na falach rozbijając je.

Pokonany i upokorzony książę Wód wycofał się, przysięgając zemstę. Aby stawić czoła jego nienawiści, duch Góry nauczył ludzi, jak się opierać kopiąc kanały i konstruując tamy, aby zmusić wody do odwrotu.

Rok po roku, przez tysiąclecia, wyjące fale Rzeki Czerwonej rozpadały się na tamach i rozpraszały się w kanałach, i ustępowały przed oporem ludzi mieszkających u stóp góry Tan Vien, na północy pewnego kraju, który nazywa się Wietnamem.

6.

Wiatr przed sądem

baśń ludowa

Był sobie pewnego razu biedak bez dachu nad głową, bez rodziny, bez ziemi, bez sił i zdrowia. Cóż mógł robić innego prócz żebrania? Chodził więc od drzwi do drzwi i od wsi do wsi, licząc na dobry humor ludzi i losu. I pewnego pięknego ranka jego nadzieja została wreszcie nagrodzona: zamiast resztek z poprzedniego wieczornego obiadu, bogaty chłop dał mu miskę pełną świeżego ryżu.

„Jaki jest piękny! Wygląda jak perły!” pomyślał żebrak. I przez całą drogę do rzeki zastanawiał się, czy zje swój skarb w formie naturalnej, czy z jakimś warzywem czy może w sosie rybnym.

„Zdecyduję, kiedy ryż się ugotuje; przede wszystkim trzeba go umyć” powiedział do siebie, ostrożnie zanurzając miskę w płynącej wodzie.

W tym momencie wiatr nagle się wzmógł, rzeka pokryła się małymi falami ... i porwała cały ryż, pozostawiając żebraka tak samo głodnego, jak wcześniej. Teraz, im bardziej burczało mu w brzuchu, tym bardziej biedak myślał o swoim ryżu; a im więcej myślał o swojej stracie, tym bardziej był wściekły. W końcu, nie mogąc już dłużej tego znieść, postanowił oskarżyć Wiatr o kradzież przed Niebiańskim Trybunałem. Poszedł więc uderzyć w gong przed siedzibą Sędziego Niebios i przekazał mu taką oto prośbę:

„Niżej podpisanemu, samotnemu staremu żebrakowi z prowincji Ha Doai, sługa Waszej Cesarskiej Wysokości, Pan Wiatr wsypał do rzeki jego jedyną miskę ryżu. Uznając, że czyn ten poważnie zaszkodził apetytowi niżej podpisanego, i był sprzeczny z najbardziej elementarną sprawiedliwością, ów niżej podpisany pokornie zwraca się do Waszej Wysokości o naprawienie tej krzywdy i zwrócenie miski ryżu przez oskarżonego Pana Wiatr”.

Niebiański Sędzia z początku uśmiechnął się otrzymawszy ten dziwny list, bo mimo oficjalnego wyglądu zawierał wiele kleksów i dużych plam atramentu, a jeszcze więcej błędów ortograficznych, których nie odtworzyliśmy tu z obawy, że będziecie je naśladować. Jednak doszedł do wniosku, że prawdę można równie dobrze wyrazić czyniąc błędy ortograficzne oraz kleksy, i wezwał Wiatr, żebraka i ich świadków przed sąd.

Po tym, jak żebrak opowiedział swoją historię długo i obszernie, nie pomijając ani jednego ziarenka ryżu, Niebiański Sędzia odchrząknął, zwrócił się do Wiatru i zapytał: -Wygląda na to, że dmuchałeś bez ostrzeżenia?

-Tak, Mistrzu - odpowiedział Wiatr.

-A czy moglibyśmy wiedzieć dlaczego?

-Z powodu tego pana – powiedział Wiatr, wskazując na tęgiego, bogato odzianego kupca. - Spieszył się i poprosił mnie, abym popchnął jego statki w górę rzeki, a ponieważ jestem usłużny, zrobiłem, jak sobie życzył.

-A dlaczegoż to panu się tak spieszyło, żeby płynąć w górę rzeki?

-Ponieważ moje dziesięć statków zostało załadowanych nowym ryżem, Wasza Wysokość. Przybywając do stolicy przed moimi konkurentami, mogłem sprzedać ładunek drożej - wyjaśnił kupiec.

-Widzisz, Sędzio Niebios? Wiatr woli raczej pomóc bogaczowi z dziesięcioma statkami ryżu, niż czekać, aż biedak umyje swoją jedyną miskę jedzenia! - krzyknął żebrak. - Sprawiedliwość! Spra...

-Nędzniku! Ośmielasz się porównywać swoją wyszczerbioną miskę do moich pięknych statków? — przerwał kupiec.

-A poza tym czy ty w ogóle poprosiłeś mnie, żebym był cicho? Nie! Podczas gdy ten dostojny pan spalił dwanaście kadzidełek, żebym dmuchnął w jego żagle! - dodał Wiatr.

-Sprawiedliwości, sprawiedliwości! - krzyknął znów żebrak. - Czy też może i Niebo słucha tylko ludzi, którzy mają kadzidło do spalania?

-Obraza dla Niebiańskiego Sądu! Ten tutaj obraża przecież Waszą Wysokość! - zawył Wiatr.

-I nas też przy okazji! Bezczelny żebraku, to ciebie należy ukarać! - dodał kupiec, tupiąc nogami.

-Ale to ja jestem sędzią, nie wy - rzekło Niebo. – Faktycznie, ten żebrak nie jest ani pełen szacunku, ani uprzejmy; ale i wy nie jesteście ani czcigodni ani uczciwi. Jemu brakuje kadzideł i dobrych manier, ale wam brakuje serca, jego żołądek jest pusty z powodu twoich pełnych statków. Więc wszyscy słuchajcie mojego wyroku: Ty, kupcze, będziesz mu dawał codziennie pełną miskę ryżu, dopóki żyje; a ty, Wietrze, już nigdy nie będziesz dmuchać wczesnym rankiem, w godzinie, gdy biedni płuczą swoją jedyną miskę jedzenia. Co do ciebie, Człowieku, będziesz musiał rozgłaszać całej ziemi, jak sądzi Niebo!

-Dać trochę mojego ryżu temu żebrakowi? Dobre sobie! - zaprotestował kupiec i nie minął rok, jak znalazł sposób, by zapomnieć o słowach Niebios.

-Przestać dmuchać, skoro mam na to ochotę? Śmieszne! - mruknął Wiatr i także zapomniał o sądzie w mniej niż dwanaście miesięcy.

-Dziękuję, Wasza Wysokość. - powiedział żebrak, a po powrocie na ziemię opowiadał tę historię każdemu, kogo spotkał... równie długo, jak sięgała pamięć Wiatru i kupca. Czyli, jak wspomniano powyżej, nie trwało to nawet roku. To dlatego ta historia nie jest tak dobrze znana, jak być powinna.

7.

Gekon²

baśń ludowa

Dawno, dawno temu, gekon był mandarynem na dworze cesarza Chin; ale nie był jakim mandarynem, lecz Thach Sung'iem, najbogatszym, najbardziej rozrzutnym i najbardziej zarozumiałym mandarynem jaki kiedykolwiek istniał.

W kuchniach Thach Sung'a ryż gotowano tylko w srebrnych kociołkach, nad płomieniem świec woskowych, jego meble były z litego złota i nawet sam Cesarz miałby problem, gdyby przyszło mu zmierzyć się na bogactwa z tym, co mandaryn nagromadził w swoim pałacu.

Najlepszym przyjacielem Thach Sung'a był inny mandaryn, Vung Khai. Był to mężczyzna dość bogaty, ale przede wszystkim znany z wielkiej mądrości, dobrego serca i skromności; a ponieważ i cesarz uważał te cechy za cenniejsze niż złoto i srebro, mianował Vung Khai'a doradcą.

Pewnego wieczoru, kiedy Thach Sung przyjechał odwiedzić przyjaciela jak zazwyczaj, zastał go kontemplującego mały, delikatnie rzeźbiony koral.

-Jaki czarujący przedmiot! Skąd pochodzi? Pierwszy raz widzę go u ciebie!- rzekł Thach Sung.

-To jest prezent od Jego Cesarskiej Mości, wyjaśnił Vung Khai. -Cudowna rzeźba, nie uważasz?

-Tak - przyznał Thach Sung, dręczony przez zazdrość.

Małeńka rzeźba zdaje się drwić z niego swoją nieznaczną ceną i ogromną wartością: bo nikt, nawet najbogatszy człowiek na świecie, nie może kupić prezentu cesarza. Thach Sung udał, że chce obejrzeć koral bliżej, podniósł go... i upuścił na marmurową podłogę, gdzie ten rozbił się na kawałeczki.

-Och! Ależ ze mnie niezdara! Jest mi naprawdę przykro! – krzyknął. - Ale błagam cię, drogi przyjacielu, nie obwiniaj mnie za stratę tego bibelotu. W zamian zaoferuję ci inny, o wiele cenniejszy!

I rzeczywiście, nazajutrz, jego służący przyniósł Vung Khai'owi ogromną gałąź koralowca w całości pokrytą rzeźbami. Prawdę mówiąc, był to przedmiot tak rzucający się w oczy, że graniczył ze złym gustem; ale jego cena musiała być tak wysoka, że delikatny prezent cesarza wydawał się w porównaniu z nim nader skromny.

Cesarz, świadomy wszystkiego, bynajmniej nie pochwalił całego zdarzenia. W każdym razie nie pokazał swoich uczuć, lecz zaprosił dwóch przyjaciół do pałacu. Rozmowa szybko zeszła na temat drogi Thach Sung'owi: na bogactwo.- Słyszałem, że posiadasz wszystko, co można posiadać na ziemi – rzekł mu Cesarz. – Czy byłoby to możliwe?

-Śmiem tak twierdzić, Wasza Cesarska Mość... i mogę to udowodnić komukolwiek, kto mówi odwrotnie! - pochwalił się Thach Sung.

- A ty, Vung Khai, który często bywasz w jego domu, zgadzasz się z twoim przyjacielem?

- Obawiam się, że to niemożliwe, Wasza Cesarska Mość. Żadna istota ludzka nie może posiadać wszystkiego... nawet sam Cesarz.

- Jeden z was musi się mylić, i zakładam, że warto byłoby wiedzieć który – uśmiechnął się Cesarz. - Co byście powiedzieli na publiczny konkurs? Składam mój skarb na ręce Vung Khai'a, który twierdzi, że

² Gekon- najliczniej występuje w strefie zwrotnikowej i podzwrotnikowej. Ameryka Północna i Środkowa, Ameryka Południowa, Afryka, Madagaskar, Półwysep Arabski, południowa Azja, Australia, Archipelag Malajski i Europa. Dotarły do wielu wysp. Żyją w lasach, stepach, na sawannach, terenach pustynnych i skalistych, a niektóre w pobliżu siedzib ludzkich (tzw. [gekony domowe](#)). [[Gekonowate – Wikipedia, wolna encyklopedia](#)]

nie można posiadać wszystkiego. Każdy z was po kolei pokaże cenny przedmiot, a drugi będzie musiał znaleźć jego odpowiednik, pod groźbą przegrania konkursu i utraty bogactw, które przedstawił.

- Oto jest wspaniały pomysł! – pochwalił Thach Sung, ciesząc się z góry przyjemnością olśnienia dworu swoimi skarbami.

Vung Khai'owi nie pozostało więc nic innego, jak zaakceptować tę dziwną grę, co też i zrobił z ciężkim sercem: zrozumiał, że przyszedł właśnie czas, by jego przyjaciel nauczył się, jaką tak naprawdę wartość mają rzeczy, ale zasmuciła go myśl, że Thach Sung zostanie upokorzony.

Cesarz postanowił, że konkurs będzie miał miejsce za dwa dni, w głównej sali audiencji pałacu. Cały następny dzień polerowano ją i sprzątano, przygotowując to duże wydarzenie, bo pamięć ludzka nie słyszała o tak dziwnym konkursie. I nastał ten dzień, i sala audiencji była tak przepełniona, że nie można było wetknąć tam nawet igły. Cesarz siedział w pierwszym rzędzie na złotym tronie; wokół niego stali ministrowie i doradcy; a bardziej z tyłu dworzanie, szambelani i później kucharze i aż do najmniejszych piekarczyków: nikt nie chciał ominąć widowiska. Muzycy uderzyli w gongi, i Vung Khai i Thach Sung, podążyli za swoimi sługami niosącymi kufry i zamknięte pudła, w końcu weszli, uklonili się przed Cesarzem, potem ustawili się po przeciwnych stronach sali. Thach Sung był ubrany w cudowną, zieloną, brokatową tunikę. Jego przyjaciel, ubrany w ciemną suknię doradców, trzymał paczuszkę, którą ostrożnie położył na stole; wszyscy zebrani zastanawiali się, jak cenny skarb musi się tam znajdować.

Gong rozbrzmiał na nowo, zaznaczając początek konkursu. Thach Sung otworzył swoje pierwsze pudło i zaprezentował błyszczącą sztabę złota.

- Też mam taką - rzekł Vung Khai, pokazując swoją. - A tutaj diamentowa kolia!

- A tu moja! - odpowiedział przyjaciel.

I gra ciągnęła się przed publicznością zachwyconą zgromadzonym tak wielkim bogactwem: warkocze pereł i kryształowe puchary, kły słoniowe, rzadkie książki, jedwabie haftowane srebrem, futra z dalekich krajów, perfumy w jadeitowych flakonikach, mieniające się dywany, damasceńskie miecze... niewyobrażalnym wydawało się, że jakiś skarb mógłby zostać zapomniany, gdy Vung Khai w końcu otworzył swoją małą paczuszkę.

-A to, to też masz?

Thach Sung zbladł, tymczasem dworzanie, oszołomieni, spoglądali na przedmiot, który zamykał konkurs w sposób tak nieoczekiwany: był to gliniany kociołek, szerniały od sadzy, kociołek do gotowania ryżu, tak zwyczajny, że można znaleźć taki sam w najskromniejszych domach.

I wtedy z tyłu sali, tam gdzie stali czeladnicy piekarscy, rozległ się śmiech, i narastał, i rozlegał się dalej, tam gdzie stali szambelani, i ogarnął wreszcie ministrów, którzy, choć skępowani, nie mogli go dłużej tłumić. Muzycy musieli uderzać w gongi z całej siły, by Cesarz mógł w końcu ogłosić Vung Khai'a zwycięzcą.

-Prawdziwym bogactwem nie są rzeczy najrzadsze, lecz najpożyteczniejsze - powiedział. - Ponieważ jego rondle są z litego srebra, Thach Sung nie był w stanie pokazać nam glinianego kociołka, który był pierwszym skarbem młodego gospodarstwa chłopskiego, tak jak skarbem jest ziarno ryżu, kropla deszczu, otwierający się pączek kwiatowy, morski wiatr. Ponieważ zwracał oczy tylko na perły, diamenty, szmaragdy i rzadkie perfumy, ponieważ był zbyt dumny ze swoich rzekomych skarbów, Thach Sung stracił je. A co zostaje bogaczowi pozbawionemu bogactw?

Thach Sung był tak zawstydzony, że pozostało mu tylko jedno pragnienie: zniknąć w jakiejś szczelinie lub za którąś belką, stać się niewidzialnym. Czuł się umniejszony, kurczył się ze smutku, jego niespokojne oczy szukały kryjówki, gdy tymczasem Cesarz i dworzanie zdawali się stawać olbrzymami.

Thach Sung rzucił ostatnie spojrzenie, pełne żalu, i zniknął w szczelinie podłogi: przemienił się w gekona.

Do tej pory ośmiela się pokazywać tylko o zmierzchu, bojąc się spotkać kogoś, kto go niegdyś znał, jeszcze gdy był mandarynem. Jednak gdy zapada noc, gdy cienie wydłużają się i pokrywają wieś niebieskim welonem, wychodzi ze swojej dziury i wspina na sufit słomianej chaty, obserwuje z wysoka skromną kolację gospodarzy, chłopów. Wtedy, widząc gliniany kociołek skąd czerpią ryż, delikatnie mlaska językiem: cz cz cz... przypominając sobie utracone bogactwa.

-Braciszku, mógłbyś zostawić biednego Thach Sung'a w spokoju! - mówi najstarsza siostra do chłopczyka, który skończywszy posiłek chce zapolować na malutką zieloną jaszczurkę.

Bo z całej niegdysiejszej chwały gekon zachował tylko połąć brokatowej tuniki i wyniosłe imię mandaryna.

8.

Ropuszka

baśń ludowa

Starzy państwo Hai nie mieli dzieci. Pielgrzymowali do wszystkich sanktuariów w nadziei otrzymania choćby jednego jedynego dziecka, które by kochali i ostatecznie pewien dobry duch wysłuchał ich modlitw. Lecz albo duch nieuważnie ich słuchał, albo wieśniacy wymamrotali prośbę w sposób niezrozumiały, albo gdzieś wkradł się błąd: zamiast dziecka, pani Hai urodziła ropuszkę.

Początkowo rodzice byli bardzo nieszczęśliwi. Potem czas dopomógł i pogodzili się z faktem, zwłaszcza że ropucha dorastała i zachowywała się jak prawdziwa dziewczynka; co więcej, była bardzo inteligentna i posiadała naprawdę piękny głos.

Wkrótce państwo Hai całkowicie zapomnieli o niecodziennym wyglądzie dziecka. Kiedy skończyła sześć lat, wysłali ją do szkoły, gdzie była zdecydowanie najlepszą uczennicą; ale kilka lat później pan Hai przerwał jej naukę mówiąc, że źle jest wiedzieć dziewczynkom za dużo, i że lepiej pracować im w kuchni albo na polu. Ropuszka nie zgadzała się z nim i gorzko żałowała swoich książek i kolegów z klasy. Niemniej jednak była posłuszną córką i mimo że wołała uczyć się filozofii niż sadzenia ryżu, zrobiła, co jej ojciec nakazał.

Pewnego dnia, podczas gdy przeganiała ptaki z dojrzewającego ryżu, zobaczyła młodego ucznia idącego przez pole. Musiał być mocno pochłonięty trudnym fragmentem, bo aż zboczył z grobli i wszedł wprost na pole ryżowe.

-Proszę pana, proszę uważać! Depcze pan moje sadzonki! - powiedziała.

Uczeń podskoczył, rozejrzał się wkoło i... nikogo nie zauważył.

-Kto mówi? - zapytał przestraszony.

-Ja, proszę pana... Ropuszka, córka państwa Hai. Och, jaki pan jesteś zabawny szukając mnie ot tak, zwyczajnie! Proszę spojrzeć, jestem tutaj... obok pańskiej lewej stopy!

I była tam, rzeczywiście, choć wydawało się niewiarygodne, że tak uroczy śmiech mógł wydobywać się z tego małego zielonkawego stworzenia.

-Ja... Przykro mi, że zniszczyłem panienki ryż, byłem w trakcie rozmyślania nad rozdziałem, który studiowaliśmy do konkursu regionalnego do tego stopnia, że nie widziałem gdzie stawiam kroki i... Och, zachowałem się naprawdę niewybaczalnie, zapomniałem się przedstawić! Nazywam się Xuan (co znaczy "wiosna", a wymawia się jak "Suan"), uczeń starego Mandaryna z sąsiedniej wioski.

-Przygotowuje pan konkurs regionalny? Cóż za szansa dla pana! Proszę powiedzieć, co pan teraz studiuje?

-Lubi panienka książki?

Xuan był coraz bardziej zdumiony tym dziwnym spotkaniem.

-Tak... To znaczy, tylko trochę, skoro dziewczętom nie można podejmować studiów - powiedziała Ropuszka smutno.

Ale kiedy Xuan zapytał ją o jej ulubione książki, zrozumiał, że dużo wie i pomniejsza swą wiedzę, choć ta okazała się imponująca: nie tylko przeczytała prawie wszystkich klasyków, ale miała też ciekawe poglądy na to, co przeczytała.

Xuan chętnie spędziłby cały dzień na rozmowie z nową przyjaciółką, gdyby nie przypomniła mu ona grzecznie o jego powinności wobec nauczyciela.

Jednak od tego dnia młodzieniec wstawał wcześniej, żeby móc pogawędzić z Ropuszką przed pójściem na zajęcia; im lepiej ją poznawał, tym bardziej był szczęśliwy w jej towarzystwie. Miała najładniejszy głos w okolicy, i nie wykorzystywała go do plotkowania, jak robią to inne dziewczyny; wiedziała tyle samo, co uczniowie w szkole, bez wywyższania się, jak inni. Więc kiedy rodzice postanowili poszukać mu narzeczonej, Xuan oznajmił, że nie poślubi żadnej innej, tylko córkę pana Hai.

-Och! Mówią, że to ropucha! - rozpaczła jego matka.

-Chcesz przynieść wstyd naszej rodzinie? - zagrmiał jego ojciec.

-Jeśli nie mogę być z Ropuszką, pozostanę kawalerem - powiedział spokojnie Xuan.

Było jasne, że nie zmieni swojego zdania, a ponieważ był jedynakiem, rodzice ostatecznie ustąpili. Wysłali swatkę do państwa Hai, hojne prezenty zostały wymienione, pani Hai wylewała rześiste łzy na myśl, że córka opuszcza dom rodzinny... aż Ropuszka została żoną Xuana.

Teściowie szybko zorientowali się, że mimo dziwnego wyglądu była wzorową żoną. Jej małe, pletwiaste łapki gotowały ryż, prały, zamiatały dom, podlewały ogród i pola przez cały dzień. W nocy można było usłyszeć młodą parę czytającą razem; i zawsze Ropuszka była w dobrym humorze, śmiejąc się i śpiewając krystalicznym głosem.

Wprawdzie rodzina Xuana zaakceptowała ją wreszcie, jednak koledzy ze szkoły nie. To dziwne małżeństwo oburzało ich. Może po prostu nienawidzili wszystkiego, co wydaje się inne; a może chcieli, żeby Xuan poślubił jedną z ich siostr lub kuzynek; w każdym razie, prześladowali go rysując ropuchy na jego książkach i zeszytach, a ponieważ nie przeszkadzało mu to, postanowili znaleźć inny sposób na upokorzenie go.

-W przyszłym tygodniu, z okazji urodzin Mistrza każdy podaruje mu ciasto przygotowane przez nasze żony! - powiedzieli, przekonani że ropucha nie może piec.

A ponieważ matka Xuana była bardzo stara, z pewnością przyjdzie z pustymi rękoma.

Xuan podzielał ich zdanie i próbował ukryć przed żoną tę sprawę, ale ona dobrze wyczuła, że coś jest nie tak i udowodniła mu, popierając to cytatami z klasyków, że para powinna dzielić smutki na równi z radościami.

-Masz tu rację, ale nie jesteś piekarką!- powiedział Xuan w końcu. - Tak czy inaczej, wolę cię od wszystkich piekarek królewskich.

Po czym, pewny że jego żona nie będzie już więcej myśleć o prezencie dla Mistrza, próbował robić tak samo i o tym nie myśleć i przygotowywał się do zajęć w dniu jego urodzin, jak gdyby nic się nie stało. Tymczasem ona przyniosła mu owinięty półmisek.

-Proszę, oto ciasto, ale obiecaj, że odkryjesz je tylko przed mistrzem!

Pod liściem bananowca, który je przykrywał i który osłaniał dziwne wypustki, ciasto wydawało się bezkształtne; ale Ropuszka miała tak błagający wyraz twarzy, że Xuan, pomimo chęci, by wyrzucić danie, nie miał serca rozczarować żony. Obiecał.

Podczas gdy jego koledzy prezentowali słodkości, które ich żony przygotowały, Xuan miał nadzieję, że o nim zapomną. Na próżno!

-Ostatnie i najlepsze, ciasto ropuchy! - ogłosił najstarszy uczeń, popychając zarumienionego Xuana w stronę Mistrza.

-Twoi przyjaciele wydają się dobrze bawić potępiając twoją żonę; tymczasem jest ona prawdziwą artystką! - powiedział starzec odkrywając tacę, na co z piersi zebranych wydobyły się żywe głosy uznania.

Ciasto przyniesione przez Xuana było najwspanialszym, jakie można było kiedykolwiek zobaczyć; a jeśli Mistrz nie okrzyknął go najsmaczniejszym, to tylko z dobroci, aby nie upokarzać żon pozostałych uczniów.

Zapytana przez męża, Ropuszka powiedziała, że to zwykłe ciasto i zmieniła temat rozmowy. Xuan nie nalegał. Bo czyż nie to było ważne, że jego towarzysze już się z nim nie droczyli?

Niestety, chwila wytechnienia nie trwała długo: gdy zbliżał się Nowy Rok, uczniowie wpadli na nowy pomysł.

-Każda z naszych żon ma uszyć tunikę dla mistrza - mówili.- Bo jeśli łapki ropuchy mogły zrobić słodkości, to przecież wydawały się niezdolne do szycia. Poza tym Xuan nigdy nie przedstawił żony mistrzowi, więc nie zna jego wymiarów.

Wiedząc, że nie może niczego przed nią ukryć, Xuan opowiedział żonie o nowej próbie, zwalniając ją z góry z udziału w niej.

-Czy mogłabym chociaż spróbować? - zapytała cicho.

-Jeśli cię to ucieszy - odrzekł.

Już miał jednak zaprotestować, gdy w Nowy Rok wręczyła mu niezgrabnie zawiązaną paczkę. Potem powiedział sobie: „Cóż za różnica? Brak tuniki, czy źle uszyta tunika? Tak czy siak zostaną wyśmiani, więc po co obrażać żonę, która zadała sobie tyle trudu? Wystarczy, że ma pletwiaste łapy zamiast zwinnych palców...”. I dziękując jej za pracę, zabrał zawiniątko.

-Dzisiaj to pan Ropucha jako pierwszy wręczy prezent! - wykrzyknęli uczniowie.

W paczce znajdowała się najpiękniejsza z tunik, delikatnie haftowana.

-Przymierz, Mistrzu! - nalegali uczniowie.

Starzec, uśmiechając się na widok podekscytowanych uczniów, zrobił to, o co prosili: tunika leżała idealnie, podczas gdy z wszystkimi pozostałymi coś było nie tak: a to rękaw za długi, a to w ramionach za wąska... Xuan, widząc oczyma wyobraźni kilka spokojnych miesięcy, był pełen radości. Widząc go w takim stanie, mistrz zapytał czule:

-Powiedz mi, synu, dlaczego inni nazywają cię Panem Ropuchą?

-Bo ożenił się z ropuchą! – krzyczeli uczniowie, śmiejąc się złośliwie.

-To absurd - rzekł mistrz. – Naczytaliście się zbyt wiele baśni, w których ludzie poślubiają wróżki, duchy kwiatów i syreny, a nie rozumiecie, że to tylko poetyckie obrazy. Xuan, mąż ropuchy... Ale to jest sprzeczne z nauką i logiką!

-A jednak, Mistrzu! To prawda! Jeśli w to nie wierzysz, poproś go, aby ci ją przedstawił.

-I nam też, bo ją ukrywa!

-Tak, tak! Zróbmy przyjęcie, na którym wszyscy przyjdą z żonami!

-To rzeczywiście mogłoby być bardzo przyjemne - powiedział mistrz i postanowiono, że przyjęcie odbędzie się następnego dnia.

Xuan wrócił do domu zdesperowany. Jego kochana Ropuszka mogła mieć jeszcze tysiąc talentów, których on nie znał: umiejętność malowania, gry na lutni lub czytania w gwiazdach... ale z wyglądu znał ją doskonale: była drobna, miała zielonkawą skórę, szerokie usta, wylupiające oczy i ani jednego włosa. Gdyby zabrał ją na przyjęcie, umarłaby z upokorzenia. Postanowił nic jej nie mówić.

Tylko że ona miała sposób na odkrywanie rzeczy; a kiedy usłyszała o zaproszeniu, podskoczyła z radości, mówiąc:

-Jakie szczęście! Zawsze chciałem poznać mistrza! Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałeś?

-Ja... Myślałem, że nie lubisz przyjęć - Xuan skłamał.

Bolało go serce na myśl o tym, że Ropuszka odkryje swoją brzydotę. Bo było jasne, że teraz jeszcze uważa się za ładną kobietę!

Następnego dnia, idąc do mistrza, szli groblą wśród pól ryżowych, mąż smutny z przodu, żona radośnie podskakując kilka kroków za nim, kiedy nagle zawołała:

-Nieszczęście! Spada mi pasek! Proszę, poczekaj na mnie, zwiążę go lepiej tu za krzakiem.

„Tego już za wiele! Nie ma ubrania, ani paska... ani talii, do której mogłaby dopasować pasek!” Xuan pomyślał zrozpaczony. Wtedy poczuł się całkiem zawstydzony. „Biedna mała! próbuje udawać, że jest prawdziwą kobietą, to byłoby okropne, gdybym ja, jej mąż, nie pomógł jej...”.

-Nie spiesz się, siostrzyczko, żeby nie poplamieć tuniki – powiedział cicho.

I nagle jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki, bo z krzaka wyłoniła się najpiękniejsza kobieta, jaką można sobie wymarzyć!

-Dziękuję za cierpliwość, Xuan. Powiedz, czy nie zepsułam sobie koka? - jej głos brzmiał dokładnie jak głos Ropuszki - Proszę, starszy bracie, nie stój tak i nie patrz na mnie, jakbyś nigdy mnie nie widział! Spóźnimy się do mistrza, a to byłoby strasznie niegrzeczne.

-Domyślam się, że wasze dokuczanie było tylko wybiegiem, po to aby Xuan przedstawił nam swoją wspaniałą żonę, której tak zazdrośnie strzeże! - powiedział mistrz, kiedy przybyli na przyjęcie. - Zauważcie, on ma rację: jest tak piękna i utalentowana, że król mógłby mu ją odebrać, gdyby ją zobaczył!

Zawstydzeni uczniowie umilkli, a ich żony zrobiły to samo, bo żadna nie chciała, aby jej głos był porównywany z głosem Ropuszki. Mistrz skorzystał więc z okazji i wygłosił przemówienie udowadniając, że mężczyźni żenią się z ropuchami tylko w baśniach; i tym razem nikt mu nie zaprzeczył, nawet Xuan.

Ale w drodze powrotnej poprosił żonę, aby wyjaśniła mu, co się stało.

-Nie wiem – odpowiedziała. - Może ta forma ropuchy była tylko koszmarem... albo karą za kpiny z brzydoty w poprzednim życiu... albo pokutą nałożoną przez wróżkę... A może moja uroda to spełnienie twoich marzeń, albo kształt, który miłość nadaje wszystkiemu, czego dotknie... Nikt nie potrafi wytłumaczyć cudów życia i miłości.

9.

Kot i Szczur

baśń ludowa

Dużo już czasu upłynęło od tego... jest to historia Kota i Szczura. Jadeitowy Cesarz posiadał w niebie ogromne spichlerze pełne ryżu o ziarnach przejrzystych i jasnych niczym małe złote latarnie. Otóż było w niebie prawie tylu złodziei i zbójów, co na ziemi, dlatego Jadeitowy Cesarz zaczął szukać dobrego strażnika, który strzegłby jego spichlerzy. Długo myślał, wahał się i, dokładnie rozważywszy, wybrał Thu Thana o błyszczących oczach. Rzekł sobie, że duch ten najlepiej wykona robotę. Niestety, przewidział wszystko, z wyjątkiem chciwości, która zakorzeniła się w sercu Thu Thana niczym zielsko, kiedy zobaczył siebie jako wielkiego klucznika. Nowy strażnik ukradł tyle pięknego, złotego ryżu, że spichlerze były prawie puste w dniu, w którym odwiedził je Cesarz. Tymczasem przecież legenda głosiła, że te spichlerze były niewyczerpane.

- Więc takie oto oblicze ukrywasz za swoimi pięknymi pozorami? Od tej pory nie będziesz mógł nikogo oszukać: twoja twarz będzie dokładnym obrazem twojego serca.

Oczy Jadeitowego Cesarza ciskały błyskawice, jego głos był jak grzmot - tak wielki był jego gniew. W miarę jak mówił, Thu Than zaczął się kurczyć; jego szata straciła wystawny połysk i przybrała brudnoszary odcień; jego palce zamieniły się w małe, drapieżne pazury, a nos wydłużył się w spiczasty ryjek, pod którym wyrosły skąpe wąsy, wargi jego nabrały okrutnego i złośliwego wyrazu. Nieuczciwy duch był teraz szczurem.

- Odejdź! Jesteś tysiąc razy brzydszy, niż myślałem - powiedział z obrzydzeniem Cesarz i kopniakiem wypędził go z Jadeitowego Pałacu.

W ten sposób szczur przybył na ziemię. Ale zamiast się poprawić, upadły duch zachowywał się jeszcze gorzej, kradnąc chłopom ryż, skubiąc maty, na których spały rodziny, ich ubrania, nadgryzając książki i meble, brudząc wszystko, czego się dotknął. Możecie sobie wyobrazić, że jego przybycie bynajmniej nie było dla ludzi pożądaną przyjemnością. Ponieważ nic i nikt nie mógł powstrzymać go przed gryzieniem, ludzie w końcu ubłagali Ducha Domostwa, obrońcy Domu, aby coś zrobił.

- Dwudziestego trzeciego dnia dwunastego miesiąca, kiedy wstąpię do Nieba, aby zdać Cesarzowi relację z tego, co wydarzyło się w ciągu roku we wszystkich domach na ziemi, poproszę Jego Wysokość, aby odesłał tę złą istotę tam skąd przyszła.

To jest to, co obiecał Duch Domostwa. Nie wiedział oczywiście, że szczur pochodzi z Jadeitowego Pałacu. I, oczywiście, Cesarz nie miał najmniejszej ochoty ponownie widzieć nieuczciwego i wścibskiego Thu Thana. Ale Duch Domostwa błagał:

- Ludzie są tacy biedni, Panie! Jeśli szczur nadal będzie pustoszył wszystko na ziemi, wkrótce umrą z głodu.

-Z pewnością - przyznał Cesarz - ale, z drugiej strony, rozumiesz, że byłoby niesprawiedliwe pozwolić temu bandycie wrócić do Nieba. Trzeba szukać innego rozwiązania i ... Tak! Sądzę, że je znalazłem!

Odwracając się, powiedział:

-Chodź, Miaou Than!

-Do usług, Panie - odpowiedział tak nazwany duch, a echo jego imienia wciąż rozbrzmiewało.

Wyglądał dobrze i był bardzo elegancki, nosił aksamitne pantofle i dumne wąsy. Jego ruchy były szlachetne.

-Czy pamiętasz, jak ty i Thu Than kłóciliście się i biliście o wszystko? Przypuśćmy, że teraz daję ci prawo do decydowania o jego życiu i śmierci? Czy byłbyś gotów zejść na ziemię, by go ukarać?

-Tak, Panie - powiedział Miaou Than, z okrutnym błyskiem w oczach, które stały się fosforyzujące, podczas gdy jego uszy i zęby zrobiły się spiczaste.

A w następnej chwili eleganckie i piękne zwierzę o długich wytwornych paznokciach, aksamitnych pantoflach i obszernej jedwabnej szacie skłoniło się Cesarzowi mruczając.

- Od tej pory masz na imię Kot. I pamiętaj, że dałem ci władzę nad drapieżnym Thu Thanem, abyś chronił ludzi! - oświadczył Cesarz, otwierając drzwi Jadeitowego Pałacu.

- Obiecuję gonić go zawsze i wszędzie, i powtarzać niestrudzenie: *Biada ci! Biada ci!* Nawet gdy będę odpoczywać, aby nigdy nie zapomniał o mojej misji - odpowiedział kot.

Wiecznie zaganiani ludzie słyszą jedynie: *miau! miau!* Ale potomkowie Thu Thana, myszy i szczury, wiedzą, co to znaczy. Gdy tylko usłyszą wołanie kota, chowają się w swojej norze drżąc ze strachu i wstydu.

Człowiek wkrótce pokochał swojego nowego i dziwnego obrońcę. Dzielił się z nim mlekiem i rybami, a dla uświetnienia go zaproponował mu miejsce przy ogniu. Kot usiadł od razu przy palenisku, z oczyma na wpół zamkniętymi, i, zwinięty w miękki kłębek, obserwował żar. Czasami to złote światło przypomina mu o Jadeitowym Pałacu i ogarnia go nagły smutek. We śnie wspomina o wielkich niebiańskich świętach i gwiazdnych ogrodach utraconych na zawsze z powodu konfliktu z Thu Thanem. Ale i za sprawą Ducha Domostwa, który tak skutecznie bronił ludzi. I gniew go ogarnia:

- Gdybyś nie upierał się tak bardzo przy występkach szczura, Cesarz nie wysłałby mnie na ziemię.

Ma poczucie, że Duch Domostwa wyrządził mu krzywdę. Wtedy kopie dołek w popiele i, pełen pogardy, zakopuje swój bobek na środku paleniska!

10.

Kwadratowy wąż

Był sobie człowiek, który kłamał, kłamał, kłamał... Kłamał tak naturalnie, jak naturalnym jest dla słońca, że wschodzi co rano. Przychodziło mu to z równą łatwością, co wodzie płynięcie, a węzowi pełzanie. Pewnego dnia, wracając ze spaceru, dumnie oznajmił swojej żonie:

- Wiesz, moja przyjaciółko, dzisiaj, kiedy chodziłem po lesie, zgadnij, co zobaczyłem? Węża! Ale takiego ogromnie wielkiego węża! Olbrzymiego! Gigantycznego! Ogromnego! Straszniego! Wyobrażasz sobie? Miał dobre 20 metrów szerokości i co najmniej 120 metrów długości, jak stąd do końca ścieżki. I widziałem go, widziałem na własne oczy! Nadzwyczajna sztuka!

Ale dobra kobieta zna swojego pocziwego męża i jego szaloną manię kłamania. Uśmiecha się spod swojej chustki, przytakuje głową i przekornym tonem mówi: - Pomyśl chwilę, przecież tak długie węże nie istnieją.

Wtedy on nieco speszony odpowiada: -Nie chcesz mi uwierzyć! Ale ja, ja ci powiem... Słuchaj no! Wiesz, może to nie jest dokładnie 120 metrów. Powiedzmy, w każdym razie, co najmniej 100 metrów.

-Sto metrów? Aleś mnie rozśmieszył! Jego ogon kilka razy okrążyłby naszą małą chatę. Niemożliwe!

Wtedy, przybierając najbardziej przekonującego wyglądu, tupie nogą i oznajmia: -Ah, tak sądzisz! Dobrze, ja ci powiem: wąż, jeśli nie mierzy dokładnie 100 metrów, ma dobre 80 metrów!

Wytrwała kobieta skrzyżowała ramiona i nadal przytakuje głową, uśmiechając się: -80 metrów? Niemożliwe! Jestem pewna, że nigdy nie istniał wąż mierzący 80 metrów.

Ale jej pocziwy mąż uczeplił się swojej komicznej baśni jak człowiek, który tonie i ze wszystkich swoich sił chwytą się tratwy:

-Słuchaj! Może ostatecznie masz rację. Jeśli nie ma dokładnie 80 metrów, jestem pewny, że miał co najmniej 60 metrów.

-60 metrów? To wciąż za dużo, mój biedaku!

Wyprostował się trochę, wyciągnął szyję próbując być bardziej przekonującym: -Och! Nie szukaj małego zwierza! 60 metrów czy 40 metrów, to całkiem podobnie!

Ale dzielna kobieta, cierpliwa, uparta, uśmiechnięta, jeszcze nie ustępuje: -A ja ci mówię, że on nie mierzy 40 metrów, twój kolosalny, olbrzymi, gigantyczny wąż!

Wtedy jej mąż przybliżył się powoli, przybiera podstępny wyraz twarzy i radośnie szepcze jej do ucha:

-No dobrze, moja piękna! Ponieważ to ty, zwierzę ci się. Mój wąż, on ma - i tym razem to czysta prawda - 20 metrów. Ani centymetra mniej!

I biedak prostuje się, zachwycony, czekając na efekt. Ale dobra kobieta cofa się o krok, wybucha śmiechem, od którego zatrzęsała się filiżanka na stole i między dwoma napadami śmiechu, rzuca z błyszczącymi od łez radości oczami:

-No zobaczmy!... Wąż, który ma 20 metrów szerokości i 20 metrów długości... no wiesz mój ty biedny przyjacielu! Twój wąż był więc kwadratowy!

Do czego podobny jest słoń?

Było pięciu wróżbitów, wszyscy ślepi jak sama Pani Fortuna. Za kilka groszy przepowiadali chłopom, że będą mieć udane żniwa, jeśli utrzyma się ładna pogoda; dziewczętom przepowiadali męża, dzieci i teściową; marynarzom długie podróże i burze na morzu, a wszystkim bez wyjątku wzloty i upadki.

Ale w dniu, w którym zaczyna się nasza historia, nikt nie zjawił się z prośbą o przepowiedzenie przyszłości. A to dlatego, że jarmark ze słoniem przyjechał do wioski i wszyscy mieszkańcy, od starca o kulach do małego dziecka ledwo potrafiącego chodzić wybrali się, by zobaczyć nadzwyczajne zwierzę. Pięciu jasnowidzów nie miało nic do roboty, siedzieli więc w gospodzie i pili herbatę, by się pocieszyć.

- Któż by przypuścił, że zwykły zwierz przyciągnie wszystkich gapiów!- narzeka najstarszy.

-To nie jest zwykłe zwierzę. Mówią, że słoń jest ogromny! – rzecze najgrubszy.

-Do czego może być podobny? – pyta najchudszy.

-Nie mam pojęcia: pierwszy raz się zdarza, że takie zwierzę się tu pojawia! – mówi najbardziej łyśy.

-Jeśli byśmy poprosili kramarzy jarmarcznych, żeby pozwolili nam dotknąć słonia, nie byłibyśmy już jedynymi, którzy nie wiedzą jaki on jest – proponuje najmłodszy.

-Tak! To jest to! - zgodzili się pozostali. - Wystarczy, by każdy z nas dał grosza kramarzom, by nam pozwolili zbliżyć się do niego; mówią, że to zwierz równie łagodny co wielki!

Jak powiedzieli, tak zrobili. I jako że żaden z pięciu jasnowidzów nie chciał być ostatnią osobą, która odkryłaby, do czego podobny jest słoń, weszli wszyscy razem do zagrody i zaczęli wymacywać: jeden trąbę, drugi ciosy, trzeci ucho, łapę i ogon. Po czym wrócili do siebie szczęśliwi z nowego odkrycia.

Następnego dnia, spotkali się ponownie w gospodzie, jak każdego ranka, wszyscy wciąż zauroczeni słoniem.

-To prawda, że jest ogromny – mówi najstarszy, który dotknął łapy. - Zdaje się być filarem świątyni.

- Filarem? Jaki zabawny pomysł! Wiesz dobrze, że przypomina raczej liść bananowca, szeroki i płaski! – poprawia go najchudszy, który dotykał ucha.

-Ależ nie! Słoń podobny jest do grubej pijawki, bardzo długiej i bardzo giętkiej! – stwierdza łyśy, który dotykał trąby.

-Giętki! Jesteś głupcem! Słoń jest twardy i gładki, jak drąg do noszenia koszy! - orzeka gruby, który dotykał kłów.

-Tatata, bzdury, że hej! –mówi, śmiejąc się, najmłodszy, który dotykał ogona. – Słoń jest jak miotła przymocowana do liny.

-Co? Przecież ja, najstarszy, zapewniam was, że podobny jest do filaru.

-Do drąga, drogi przyjacielu, do drąga!

-Nie i nie! Do grubej pijawki, mówię wam!

-Raczej do liścia bananowca!

-Ależ nie, do twardego filaru!

-Do tłustej pijawki!

-Do twardego drąga!

-Do miotły!

-Do liścia!

-Do filaru, głupcze!

-Do pijawki, nieuku!

-Do liścia, tumanie!

-Nie, do ~~drąga~~!

- Nie, nie, nie, do miotły!

-NIEEEEEEEEEEEEEEE!

-T-a-a-a-aaaaak!

-NIENIENIENIENIENIENIE!

A może się kłóć jeszcze godzinami, że on jest.....

Chyba że zdecydowali się pójść raz jeszcze i go zbadać. Tym razem w całości, a nie każdy po małym kawałku, który błędnie wziął za całość.

Co krawiec wiedzieć powinien

Był sobie pewien krawiec tak zręczny, że wszyscy mandaryni zamawiali u niego wytworne szaty. A on, po zdjęciu dokładnej miary, pytał każdego nowego klienta:

-Ekscelencjo, proszę wybaczyć mi tę śmiałość, ale zapytam tylko: od jak dawna wasza ekscelencja jest mandarynem?

-Jesteś od szycia mi stroju, a nie od zadawania pytań o lata wysługi na dworze, głupku ty jeden! – odrzekł któregoś razu wyjątkowo drażliwy mandaryn.

-Proszę o wybaczenie, wasza ekscelencjo. Ale pytam dlatego, że lata wysługi mają bardzo duży wpływ na przygotowanie szaty – odrzekł krawiec. – Proszę się tylko przyjrzeć świeżo mianowanemu mandarynowi: paradując nadyma tors, jest bowiem bardzo dumny z nadanej mu funkcji. Musi zatem mieć strój dłuższy z przodu, a krótszy z tyłu. Gdy jest w połowie kariery, gdy odkryje już, że uciskając biedaków musi jednocześnie schlebiać ważnym tego świata, zyskuje pewną równowagę, zalety i wady równoważą się, zatem chodzi on normalnie wyprostowany, dlatego jego szata musi mieć taką samą długość z przodu i z tyłu. A gdy już się zestarzeje pod swą złotą uprzężą, plecy ma zgięte ku ziemi pod ciężarem kłamliwej uniżoności, wzrok jego opada ku ziemi, do której wkrótce, jak sam to czuje, powróci, niczym pierwszy lepszy najskromniejszy chłop. I w tym przypadku, wasza ekscelencjo, należy przykroić materiał tak, aby szata była dłuższa z tyłu niż z przodu...

13.

Uczony i chłop

Stary człowiek ma dwóch zięciów: jednego uczonego, drugiego zwykłego chłopą. Pewnego dnia zabiera ich na spacer. Jest jesień, dzikie gęsi odlatują krzycząc.

-Dlaczego gęsi krzyczą w taki sposób? – pyta starzec.

-Jakież to głębokie pytanie! – mówi uczony. Marszcząc brwi, drapie się w brodę i tak wreszcie rzecze:

-Ponieważ grzmot grzmi w wijącej się rzece.

-Hmmm – mamrocze starzec, wyraźnie poruszony niezrozumiałym językiem. - A co ty powiesz, mój kadecie?

-Ja? Myślę, że one krzyczą... bo krzyczą - powiedział zakłopotany młody chłop.

Kawałek dalej, kaczka pływa po stawie.

-Dlaczego ona pływa? – pyta starzec.

-Bo wytwornie wybrzmiewa i na powierzchni zdumiewa - wyraził się uczony, naciskając na rym.

-Prostu, bo tak - powiedział chłop.

Wróciwszy do domu, starzec nie ustaje w pochwałach dla uczonego: ten chłopak, taki uczony, wie jak wyrazić wszystko w języku literackim, a nawet wierszem; wydaje mu się, że ten szlachetny język, którego, mówiąc szczerze, nie zrozumiał, jest sam w sobie zadatkiem mądrości starszego zięcia. Nagle prostota młodszego wydaje mu się bezgranicznym dziwactwem, do tego stopnia, że otwarcie wyśmiewa je, nawet przy stole. Starsza córka raduje się, młodsza jest na skraju łez, a młody chłop już się nie hamuje.

-To prawda, że nie studiowałem i że nie mam zielonego pojęcia o przyczynach rzeczy – mówi grzecznie. - także, starszy bracie, bądź tak dobry i wytłumacz mi, co mówiłeś o gęsiach po to, bym mógł się doszkolić.

-Zobaczmy, zobaczmy... jakby to przetłumaczyć na chłopski język? – puszy się uczony.

Po chwili zastanowienia, wygłasza: -Przy długiej szyi, silny głos!

-Prawdziwie interesujące! Pasjonujące! - mówi chłop. - Ale, powiedz... jak żaba, która nie ma w ogóle szyi, skrzeczy tak głośno?

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

-Ach tak! A co mówiłeś o kaczce, drogi starszy bracie? – pyta chłop.

-Powiedziałem, w języku poprawnym i delikatnym: mało kości, dużo piór, oto zadziwiająca mieszanka, która pozwala pływać – wyjaśnia uczony.

-A łodzie, które nie mają ani kości, ani piór, czyż nie pływają? – pyta chłop. - Jeśli nie wiesz, jak uczciwie wytłumaczyć jakąś rzecz, to czy nie warto by było po prostu rzec “bo tak”, zamiast oszałamiać prostych ludzi swoim uczonym bełkotem, który nic a nic nie wyjaśnia?

Od tego właśnie dnia mówimy: lepiej być niewykształconym, niż wykształconym tylko do połowy.

14.

O statkach i drzewach

Świat jest pełen cudownych rzeczy - opowiadał wędrowiec. - Wyobraź sobie, że pewnego dnia w odległym porcie zobaczyłem statek; był tak wielki, że dwunastoletni majtek ruszając z dziobu docierał do rufy jako starzec.

-Co w tym takiego niezwykłego? - odezwał się drwal widząc zaskoczone twarze mieszkańców wsi. – Nawet tu, w pobliskim lesie, rośnie drzewo tak wysokie, że upłynęło dziesięć lat, zanim ptak doleciał do połowy jego wysokości.

-Kłamstwo! - krzyknął podróżnik. - Nie ma aż tak wysokich drzew!

-Więc z czego wykonany jest maszt twego statku? - spokojnym głosem spytał drwal.